Nr. 245. Lwów — Czwartek dnia 25 Października. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po połudn.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w ... i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi

CENY OGŁOSZEŃ

Dziś: św. Jana Kant. Karpa M.
Jutro: św. Ewarysta Nazarya

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 6 m. 40
Zachód „ 4 „ 46

Długość dnia g. 10 m. 6
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Upraszamy o wczesne odnawianie prenumeraty.

Wynosi ona miesięcznie 1 zł. 10 ct. Kto przyszle tylko 1 zł. — temu pieniądze będą zwrócone.

Przegląd polityczny.

Lwów 24 października.

Z coraz większą troską spogląda Anglia na wojnę koreańską i handlowym swym nerwem żywo odczuwa chińskie nieszczęście. Gdyby zdolna była do zagranicznej wojny, a nie bała się jeszcze większego powikłania stosunków, toby już pewnie czynnie się wmięszała, rzucając całą wagę swej potęgi na stronę chińską. Nie mogąc tego uczynić, stara się przynajmniej o rychłe zakończenie wojny, ale i w tem doznaje niepowodzeń. Jej ambasada pekińska skłoniła bogdychana do urzędowego oświadczenia, że gotów jest na warunkach zaszczytnych dla Japonii przystąpić do rokowań pokojowych, przy których w roli życzliwych a bezstronnych pośredników asystowaliby przedstawiciele europejskich mocarstw. To oświadczenie pekińskie Anglia natychmiast zakomunikowała Japonii z prośbą o odpowiedź, której jednak dotąd nie otrzymała. A tymczasem armia japońska, oczyściwszy zupełnie Koreę z wojsk chińskich, podzieliła się na dwa korpusy, z których jeden rzucił się na północ i tym niespodziewanym ruchem zajął chińskie miasto Hung-czang, położone tuż nad syberyjską granicą, ważne i swą wielkością i obronną pozycyą i wreszcie tem, że leży na jedynej drodze z Władywostoka w głąb Chin. Trzeba zaś wiedzieć, że nieopodal tego miasta, ale oczywiście jeszcze na swem terytoryum, ustawiła Rosya korpus pod dowództwem jenerała Niszczenki, którego tam posłała z Zamościa. Ten korpus, złożony z kilku brygad strzeleckich, kozackich i artyleryjskich, miał widocznie wkroczyć do Chin osłabionych wojną, albo do Korei, gdy z niej japońskie wojska ruszą w głąb państwa bogdychanowego, znaleźć się w ten sposób na tyłach owych wojsk i za to tanim kosztem dostać północną część Korei z ważnym, nigdy niezamarzającym portem Łazarew (Gensan). Na tak niemiłą niespodziankę nie chcieli się narazić przezorni Japończycy, którzy w tej wojnie już nieraz złożyli dowody nadzwyczajnej chytrości. Rozgłosili tedy po stanowczej bitwie pod Piong-jang, że będą ścigali Chińczyków w kierunku Pekinu, a tymczasem naprawdę rzucili jeden korpus na północ i po forsownym marszu zajęli ów Hung-czang na granicy rosyjskiej. Teraz już inwazya rosyjska jest utrudniona; wykonać jej nie można bez wypowiedzenia wojny Japonii, bez stoczenia bitwy pod Hung-czangiem, a na to korpus jenerała Niszczenki jest za mały. Zaczęła go tedy Rosya powiększać, pchnęła w tę stronę ussuryjskich kozaków pod komendą Barnowa, pchnęła wszystkie wschodnio-syberyjskie bataliony strzelców i dowództwo tej przyszłej armii powierzyła jenerałowi Duchowskiemu, który jest uważany za wielką powagę strategiczną. Ale zanim po syberyjskich bezdrożach zgromadzi się ta armia na oznaczonym punkcie, dużo czasu ubiegnie, a tymczasem Japończycy będą mogli zupełnie się rozprawić z Chinami. Więc drugi swój korpus wsadzili na 35 transportowych okrętów i wywieźli go na zatokę Peczyli, przy której leży milionowy port Tientsin, skąd do Pekinu jeden dzień marszu. Opanowanie zatoki peczylskiej, zajęcie Tientsinu — to będzie nietylko ubezwładnienie Chin, ale także zupełne powstrzymanie angielskiego handlu, który na tych wodach jest bardzo ożywiony. Stąd ogromne niezadowolnienie w Londynie i próby wciągnięcia całej Europy w akcyę pośredniczącą między Chinami i Japonią. Anglia zawsze i wszędzie umiała cudzemi rękami bronić swych interesów, chciała to samo zrobić i teraz, lecz widocznie to się jej nie udało, bo naraz dzienniki londyńskie zaczęły dowodzić, iż wierutnym jest fałszem, jakoby gabinet angielski proponował mocarstwom pośredniczącą akcyę. Prasa paryska żartuje z tego odwrotu, a *Gazeta Kolońska* w telegramie z Berlina donosi, że myśl wspólnej akcyi mocarstw europejskich zupełnie upadła. Kiedy to się stało, wówczas dopiero Japonia pośrednią dała odpowiedź na chińską pokojową propozycyę, zakomunikowaną przez dyplomacyę angielską: rząd japoński zwołał parlament do Hiroszymy, zażądał odeń kredytów na wojnę i uchwały, iż walka powinna się skończyć zupełnem pokonaniem odwiecznego wroga. Parlament jednogłośnie, bez dyskusyi uchwalił i kredyt i rezolucyę rządową, poczem zaraz się rozszedł. Chybiły tedy zupełnie angielskie zabiegi o zakończenie wojny, która już teraz się toczy nie o Koreę, lecz o przewagę Japonii nad Chinami, a zapewne nawet o uszczuplenie ich.

Anglia rozpoczęła nową akcyę, w samej swej istocie całkiem bezinteresowną, a jednak gabinet londyński jest posądzany o to, że zmierza do tego samego celu, co w poprzedniej akcyi, to jest do skrępowania japońskiego rozmachu, uratowania Chin od rozgromu i w ten sposób ocalenia swego handlu z niemi od wszelkiej konkurencyi. Zaprosiła ona europejskie mocarstwa, aby wspólnie z nią wysłały bodaj po jednym statku do Tientsinu i w ogóle na wody peczylskiej zatoki dla obrony tamtejszych osiedleńców europejskich od wściekłości rozmiętnionych nieszczęściami Chińczyków i dla zabezpieczenia morskiego handlu na morzu Żółtem, którego najważniejszą częścią jest właśnie owa peczylska zatoka. Angielskie rozumowanie zapewne jest takie, że skoro już na tych wodach będą europejskie statki, to wśród wojennej zawieruchy łatwo przedstawi się dla nich konieczność pośredniczenia między wojującemi stronami. Dotąd nie wiadomo, jak mocarstwa przyjmą tę propozycyę. Mamy dopiero jedną tylko i to półurzędową odpowiedź Austryi. *Politische Corr.* oświadcza, że Austro-Węgry nie potrzebują wysyłać statku, bo w Chinach przebywa tylko 61 poddanych przedlitawskich i dziesięciu Węgrów. W tej liczbie jest 15 misyonarzy, którzy znajdują się pod opieką Francyi, jako z dawien dawna uznanej traktatami protektorki katolików w Chinach, dalej 50 poddanych austro-węgierskich mieszka w Szangaju, daleko od teatru wojny, a przytem w mieście, gdzie stale stacyonują okręty dla obrony Europejczyków. Tylko sześciu austro-węgierskich poddanych przebywa w okolicach objętych wojną. Jużci dla ich obrony niepodobna wysyłać okrętu, zwłaszcza że oni całkiem bez opieki nie zostaną, gdyż protektorat nad nimi obejmie statek któregobądź zaprzyjaźnionego z Austryą mocarstwa. Handel austryacki z Chinami również nie wart wydatków na obronę, bo przez cały rok 1891 zawitało do Chin tylko ośm austryackich okrętów z ładunkiem wynoszącym 15.333 tonn (tonna=20 cent. m.), a w 1892 roku było takich okrętów jedynaście i przewiozły one 20.991 tonn towarów. To jest cały obrót handlowy Austro-Węgier z Chinami, nie licząc jednego okrętu Lloyda, który regularnie raz na miesiąc odwiedza Szangaj.

Inne mocarstwa nawet półurzędowo nie wyraziły jeszcze swego zapatrywania na propozycyę londyńską. Na razie tedy pozostaje Anglii tylko broń dowozić Chińczykom i to ona czyni na własną rękę, nie zapraszając nikogo do spółki.

Z Wiednia donoszą, że austro-węgierski poseł przy dworze szwedzkim baron Pfusterschmid podał się do dymisyi, a stanowisko jego zajmie radzca legacyjny przy ambasadzie w Madrycie, hr. Józef Wodzicki.

Korespondencye,

Londyn 17 października.

Wyrabianie się wśród obozu postępowego w izbie gmin zbrojnego skrzydła radykalno-socyalistycznego dało powód p. Chamberlainowi, przewódcy liberalnych unionistów, to jest połączonych z konserwatystami, do scharakteryzowania dawnego gladstonowskiego radykalizmu w przeciwstawieniu do nowego. W mowie do wyborców swoich w Leeds wypowiedział Chamberlaine słowa, będące już nie krytyką, ale pochwałą jego dawnego przeciwnika Gladstona. Rzekł on: Bez wahania oświadczam, że dawni radykaliści, ludzie którzy stworzyli radykalizm, z osłupieniem, z przerażeniem staliby przed nowymi. Tamci ludzie byli sławnymi w nowej politycznej historyi, a przedewszystkiem w historyi liberalnego stronnictwa. Celem ich było podniesienie indywidualnego człowieka, wyzwolić go z więzów i pęt, dać mu swobodę rozwijania swych zdolności i korzystania ze stosunków. Dziś przychodzi nowy radykalista, a celem jego jest utopić osobnika, indywiduum, w państwie, sprowadzić nas wszystkich do jednej i jednakowej miary, by próżniak i niedołęga, marnotrawca i wałkuń, był tak samo traktowany, jak człowiek uczciwy, zabiegliwy i zdolny, by każdy z nas, bogaty i ubogi zarówno, wtłoczony był w kluby stronniczych ograniczeń. Dawniejsi radykaliści, a to im cześć przynosi, kochali swój kraj, byli gotowi dźwigać ofiary i odpowiedzialność, jakie stanowisko narodu za sobą pociąga, dziś ich miejsce zajęli ludzie, których prorokami są Labouchère i Lawson, plujący na patryotyzm, których pozbawione nerwu dłonie byłyby niezdolnemi do obrony dzierżaw, jakie ich przodkowie zdobyli"...

Słowa te dałyby się nietylko do Anglii zastosować. Swoją drogą ten pan Labouchère, członek izby posłów i redaktor dziennika *Truth* ma jako dziennikarz wielką zasługę, że prześladuje wszystkich oszustów i szalbierzy, którzy dorobiwszy się majątku, drapią się na najwyższe szczeble społeczne. Przykrych tych operacyi dokonują inne także pisma jak *Review of Reviews* p. Steada i konserwatywna *Pall Mall Gazette*. Że taka interwencya pism w Anglii bywa potrzebną, na dowód dosyć wspomnieć sprawę deputowanego Spencera Balfoura, który był prostym oszustem, a że wypalanie jednej rany nie przyniosło uzdrowienia zupełnego, mamy świeży przykład w wyborze nowego lorda majora Londynu, został nim sir Józef Renals, człowiek młody, kuśnierz i farbiarz, nie z zawodu wprawdzie, ale z tego tytułu, że na spółkę z bratem swoim ma w Londynie i w Nottinghamie wielkie zakłady kuśnierskie i farbiarskie. Otóż przed samym jego wyborem tygodnik *To-Day* („Dziś") który należy także do czasopism prowadzących zaciętą walkę przeciw „niejasnym interesom handlowym", ogłosił spis towarzystw akcyjnych, których dyrektorem był p. Renals a które wszystkie bez wyjątku zbankrutowały, narażając swoich akcyonaryuszów na dotkliwe straty, podczas gdy on nieustannie porastał w pierze. *To Day* zażądał od p. Renalsa wytłumaczenia się z tych zarzutów, lub odstąpienia od kandydatury na lorda majora, Renals nie odpowiedział ani słowem na oskarżenie a skutek tego był taki, że Radni miasta zarządzili nad nim ścisłe głosowanie. Mimo to p. Renals wyszedł z urny, wprawdzie małą tylko większością, ale wyszedł. Wynik ten sprawił powszechnie bardzo niemiłe wrażenie. Dodamy, że trzy lata temu miał Londyn nieszczęście posiadania lorda majora, p. Isaaka, który stawał potem przed sądem karnym pod zarzutem zwykłego a na wielką skalę prowadzonego oszustwa.

Zdarzenie to rzuciło nowe światło, jak pozbawionym żywotności jest urząd lorda w obecnych stosunkach. To też z tem większą sympatyą powitała opinia publiczna wypracowany właśnie przez komisyę rządową i ogłoszony projekt ujednostajnienia systemu zarządów gminnych i uregulowania stosunków City do Rady londyńskiego hrabstwa. Wiadomo bowiem jak chaotyczną jest administracya Londynu. Reforma gminna z r. 1888 nie zmieniła jej, a właściwie niezmieniła nic w ustroju City, środka Londynu, obejmującego świat handlowo-przemysłowy. Pozwolono istnieć odosobnionej tej i niemal zupełnie samodzielnej wyspie z całym średniowiecznym ustrojem wśród nowożytnych urządzeń reszty Londynu i całego państwa. Projekt reformy, opracowany przez komisyę zmienia z gruntu te stosunki i naturalnie na lepsze, łącząc City z resztą Londynu w jedną całość. Targi, szkoły i wiele zakładów, któremi City wyłącznie zawiadywała (a nieraz źle, ze szkodą reszty miasta), przechodzą naturalnie pod zwierzchnictwo rady municypalnej wszech-Londynu. Pozostaną jednak City niektóre instytucye, zrosłe z nią tradycyonalnie, wraz ze specyalnym dochodem 10,000 f. szt. (125.000 złr) na ich utrzymanie. Olbrzymie fundusze, któremi rozporządzały dotąd korporacye City bez kontroli publicznej, przechodzą na własność całego miasta.

Życie towarzyskie po jesiennych polowaniach wkrótce się na nowo ożywi. Powróci do miasta tak zwane „Towarzystwo" londyńskie, które mimo, że nie jest takiem zbiorowiskiem oryginałów z operetki, jak to sobie za granicą wyobrażają, niezaprzeczenie ma pod każdym względem bardzo oryginalny wygląd, oryginalne i odmienne zwyczaje i stosunki.

Weźmy n. p. jeden tylko szczegół. Przypuśćmy, że kogoś z obcych wprowadzono do klubu. Spostrzega on dwóch mężczyzn tak podobnych do siebie, że o najbliższem ich pokrewieństwie wątpić nie można, tylko że jeden z nich jest już siwym a drugi młodzieńcem świeżym. „To pewnie ojciec i syn", rozumuje sobie, gdy wnet ku zdziwieniu swemu dowiaduje się, że to bracia. Istotnie w Anglii zdarzają się tak znaczne jak nigdzie indziej różnice wieku między rodzeństwem. Brat starszy od drugiego brata o lat 20 lub 30 nie jest nadzwyczajnością, ale zdarzają się też większe różnice wieku. Tak n. p. najstarsza córka hr. Leicester od najmłodszego syna starszą jest o 49 lat. Hrabia sam ma lat 72. Dzienniki angielskie przytaczają jeszcze rzadszy przykład różnicy 73 lat pomiędzy rodzeństwem. Istnieje ona pomiędzy synami z dwóch małżeństw niejakiego Tomasza Beatly, który w dwudziestym roku miał pierwszego syna a w 93 ostatniego!

Z sezonem zimowym powraca też do Londynu rzesza aktorska. Ubyła jednakże wśród niej ceniona artystka miss Elisa Geffrys, która w tych dniach zaręczyła się z Fryderykiem Curzonem, drugim synem lorda Howe. Coraz to częściej się zdarza, że wybitniejsze z aktorek angielskich poczynają sobie zdobywać nietylko wstęp do najarystokratyczniejszych salonów, ale coraz częściej znajdują w nich... mężów. Z poprzedniczek m. Geffrys wymienimy miss Belle Bilton, która została lady Danlo i miss Elissie Loftus, która wyszła za syna Mac Carty'ego, przywódzcy socyalistów irlandzkich. Naturalnie wszystkie one porzuciły scenę raz na zawsze.

Reforma wyborcza a wybory belgijskie.

Piszą nam z Wiednia 22 października.

Pierwsze wybory belgijskie, dokonane na podstawie nowej ordynacyi wyborczej, skończyły się wprawdzie pomyślnie dla stronnictwa katolickiego, które nietylko utrzymało się przy większości w parlamencie, ale nawet zdobyło 11 nowych mandatów, — wzrosło bowiem z 93 na 104 posłów. Jednak wybory te powinny oddziałać jako dobitna przestroga przed zbyt znacznem i nagłem rozszerzeniem prawa wyborczego. W Belgii nagle liczbę wyborców z 150.000 zwiększono na 1,200.000. W prawdzie effekt tej operacyi usiłowano złagodzić głosami pluralnemi (po 2 lub 3) wyborców, posiadających pewną własność lub inną kwalifikacyę. Pomimo tego zaraz w pierwszych wyborach przeszło 28 socyalistów, a w miejsce dawnych umiarkowanych posłów liberalnych 20 radykalnych.

Jeżeli zważymy, że dawniej w parlamencie belgijskim nie zasiadał ani jeden socyalista i że przy dawniejszych wyborach socyaliści nie mogli się nawet ubiegać o mandat, gdy teraz odrazu, wbrew wszelkim przewidywaniom, według których socyaliści mieli zdobyć co najwięcej 6 do 8 mandatów zdobyli aż 28, mimowolnie nasuwa się pytanie, co byłoby się stało, gdyby parlament belgijski był zamiast systemu opartego na głosach pluralnych, uchwalił powszechne głosowanie? Wtedy już dziś istniałaby może większość radykalno-socyalistyczna albo wstąpiłaby do Izby jako tak liczna mniejszość, że uniemożebniłaby wszelką normalną pracę parlamentarną.

Ale i tak belgijska frakcya socyalistyczna, stosunkowo liczniejsza, niż pokrewne frakcye w parlamentach niemieckim i francuskim, a nadto składająca się z ludzi, którzy wykształceniem fachowem (adwokatów, profesorów) znacznie przewyższają swych kolegów berlińskich i paryskich, w parlamencie belgijskim rozwinie najniebezpieczniejszą propagandę. Socyalizm obiecuje masom równocześnie idealną wolność i powszechny dobrobyt. Ktokolwiek rozumuje logicznie i szczerze, jest przekonany, że naprawdę socyalizm zamieniłby państwo w olbrzymią katorgę, wolnych teraz obywateli w galerników, a znosząc główny bodziec do pracy, t. j. własność osobistą lub chęć jej nabycia, sprowadziłby ostatecznie powszechną nędzę. Ale masy nie rozumują logicznie, agitatorzy zaś socyalistyczni posiadają szczególny talent unikania wszelkich dokładnych wyjaśnień co do przyszłego ustroju państwa socyalno-demokratycznego, poprzestając zręcznie na samej namiętnej krytyce stosunków teraźniejszych, oczywiście zawsze popularnej, ponieważ świat nie jest rajem, a zatem nigdy i nigdzie nie brak malkontentów. Ta zręczna taktyka tłómaczy, że jak w Niemczech i Francyi, tak też teraz w Belgii na kandydatów socyalistycznych głosuje tysiące wyborców, którzyby ich zwalczali stanowczo, gdyby umieli należycie rozróżniać pomiędzy rzeczywistą konsekwencyą systemu socyalistycznego a teraźniejszymi frazesami agitatorskimi. Dotąd te agitacye odbywały się mniej więcej pokątnie. Teraz z trybuny parlamentarnej tacy byli profesorowie wszechnicy brukselskiej, jak Denis i de Greef, tacy wymowni adwokaci jak Defaisseaux, Leon i Alfred itd, przewyższający o całą głowę pospolitych gardłaczy, jak Liebknecht, Bebel i Singer etc., wykładać będą Belgii, a nawet całej Europie przewrotność historycznego ładu społecznego i państwowego, i zachwalać za pomocą wszelkich sztuczek wyćwiczonej na katedrze lub w sali sądowej sofistyki należycie przysłoniętej, jak obraz w Sais! — ideał socyalizmu! Umożebniając tę nową, bardzo ważną fazę agitacyi socyalistycznej, belgijska reforma wyborcza nie przysłużyła się ani krajowi, ani światu.

Nie można też żadną miarą radować się z wyparcia starego liberalnego stronnictwa pp. Frère-Orban, Bary itd. przez tak zwanych postępowców radykalnych. W kwestyi religijnej ci ostatni, jak socyaliści, zaciętością, posuniętą do otwartego ateizmu, są przeciwnikami Kościoła i wszelkiej religii nierównie namiętniejszymi, niż stare stronnictwo liberalne, w którego imieniu sędziwy Frère Orban jeszcze krótko przed wyborami ostrzegał przed bezbożnością. Ale nawet, gdyby pod względem religijnym nie zachodziła różnica pomiędzy dawnem stronnictwem liberalnem a postępowcami i socyalistami, to jednak z pierwszem nastręczała się katolikom w pewnych warunkach możliwość kompromisu na podstawie równych zasad monarchicznych, utrzymania własności, rodziny, wolności osobistej itd, gdy z teraźniejszą opozycyą radykalno-socyalistyczną nawet na tych wszystkich ważnych polach życia publicznego wszelkie porozumienie staje się wręcz niemożliwem, a zacięta walka konieczną. W żadnym więc razie zastąpienia dawnych posłów liberalnych radykalnymi i socyalistycznymi nie można uważać jako korzystnego ani dla większości katolickiej, ani dla kraju.

Tymczasem zbyt znaczne i nagłe rozszerzenie prawa wyborców w obozie katolickim wywołało objawy, które wprawdzie jeszcze nie

---

71)

OD JUTRA.

Powieść współczesna z papierów familijnych spisana przez *Maryana Gawalewicza*.

(Dokończenie).

Pierwszego wieczora siedzieli wszyscy razem w stołowym pokoju, pod świeżem wrażeniem smutku i żałoby, zatopieni w rozpamiętywaniu przeszłości tak niedawnej, w jakiejś niemej kontemplacyi, z zaczerwionemi od płaczu oczyma, z głowami zwieszonemi, unikając wzajemnie spojrzenia, jak gdyby ono wymowniejszem było od głośnej skargi; półsłówkami, szeptem, jakby się obawiano spłoszyć cień nieboszczyka, widzialny tylko ich zbolałym sercom, w nastroju uroczystym wielkiego cierpienia i smutku, odzywało się jedno do drugiego i tylko głośniej same westchnienia przemawiały za wszystko.

Słowiński siedział w rogu kanapy, wpatrzony w krąg światła, który rzucała lampa na błyszczącą ceratę stołową i czoło mu posępniało chwilami tak bardzo, że cała twarz nabierała niemal tragicznego wyrazu.

Przypominały mu się jego rozmowy z nieboszczykiem i te sceptyczne uśmiechy, które dostrzegał na ustach syna, ilekroć napomykał przy nim o ich przyszłości i ten odcień ironii, który go tak bardzo raził w dyskusyach z bratem i siostrami...

I wówczas uczuł, że jego ojcowskie serce przygniata jakiś inny jeszcze ciężar, oprócz smutku i żałości, że się z niemi miesza jakby gorycz refleksyi, która uparcie wracała, choć ją odsuwał i pozbyć się jej pragnął.

— A może — myślał — może za to zwątpienie Pan Bóg mu właśnie nie pozwolił doczekać powrotu do Dziadowej?... może to kara, że tak we wszystko wiarę utracił i tak z góry o wszystkiem przesądzał, — i tak mędrkować próbował?... Kto to wie!... wyroki Boże niezbadane.

Podniósł oczy i powiódł niemi po pokoju, w którym siedzieli wszyscy jego najbliżsi, skupieni razem; żona spłakana, z rękoma złożonemi, jak do cichej modlitwy, Marynia z wyrazem smutnej zadumy, Wandzia wciśnięta w kąt przy piecu, otulona pledem i osowiała, Roma z zaczerwienionemi od płaczu powiekami, upinająca żałobny kapelusz dla wujenki, Władysław nachmurzony i posępny, Julek wpatrujący się w czarną krepę, którą marszczyła kuzynka na woal przy kapeluszu i z widocznem współczuciem spoglądający co pewien czas na jej zmizerowaną twarzyczkę.

Stary z jakimś niepokojem i niepewnością wodził wzrokiem po nich wszystkich, jakby się obawiał, czy które nie wyczytało mu z czoła tych myśli i jakby zarazem chciał ich zapytać:

— A wy, wy, dzieci moje, wy przecież inaczej myślicie?... na was Bóg gniewać się nie potrzebuje i kary przygotowywać, wy mnie starego nie odstąpicie, nie zaprzecie się, nie zdradzicie?... robak niewiary i zwątpienia nie zakradł się do waszej duszy i nie toczy jej?... przecież się na was nie zawiodę, przecież przez was płakać nie będę, przecież ze mną wytrwacie i dziś, i jutro...

Ostatni wyraz utkwił mu w myślach, jak mucha w pajęczej siatce; z nim razem przypomniał mu się znów ten osobliwy, szyderczy, sceptyczny jakiś ton, z którym powtarzał go zwykle nieboszczyk Kazio.

Zdawało mu się, że na martwych, boleśnie skrzywionych ustach syna widział jeszcze to „jutro", zastygłe, jak kropla goryczy.

Wszystko, co było jego marzeniem i szczęściem, czego pragnął z głębi duszy i czego się spodziewał, zależało od tego jutra, które nietylko jemu jednemu miało spełnić obietnice, ale i całej jego rodzinie.

Jutro miano mu przyznać znowu prawo do utraconego mienia i zwrócić ukochaną Dziadowę, bez której marniał i wegetował na bruku, chwytał się rozpaczliwie, samemi wysiłkami sposobów ratunku, nie pojmował życia i szczęścia; jutro miał zapaść wyrok sprawiedliwości i usunąć Chocholewiczów od jego prawej własności.

Jutro miało zejść słonko i dla jego dzieci najdroższych i dla Maryni, która już szczęścia własnego raz się wyrzekła, a teraz odzyskać je miała znowu, poślubiając Zdzisława i dla Władzia, który miał wrócić do studyów przerwanych, wyswobodzić się z tej pospolitości zajęć, wśród których marnować się musiał dla kawałka chleba, zużytkować swoje zdolności, pracę, inteligencyę, naukę w odpowiedniejszym dla siebie kierunku i dla poczciwej Romy, zapracowanej z dnia na dzień i niedomyślającej się nawet niespodzianki, jaką jej wujaszeczek w nagrodę gotował i dla Jula, który miał stanąć nareszcie o własnych siłach i podać rękę kochanej dziewczynie.

Wszystko to jutro, jutro dopiero stać się miało.

— I stanie się, stanie na pewno — szeptało staremu sercu, niczem nie zrażone, nie ostudzone żadnym zawodem, pełne ufności w Bogu i wiary w losy sprawiedliwe — dlaczegoby się stać nie miało?... przecież to wszystko już pewne, jak Amen w pacierzu i wszystko ułożone z wolą Boską, dlaczegożby być nie miało?... dlaczego?... dlaczego?

Ani na chwilę nie wątpił, że tak będzie, jak mu serce mówiło, bo tak być musi, chybaby Boga w niebiosach nie było, chybaby Opatrzność zapomniała o nich zupełnie i zatracić ich chciała i zagubą im przeznaczyła beznadziejną na wieki.

— Ale czyśmy zasłużyli na to, Boże, czyśmy zasłużyli na taki gniew Twój? — pytał się, jak skruszony grzesznik i przejęty swojemi myślami, zapomniał o całem otoczeniu, zapomniał, że mogą patrzeć na niego i dziwić się temu, iż rozmawia sam z sobą i z kimś, co w górze słucha jego spowiedzi, podniósł oczy błagalne, miłosierne, od łez wilgotne i ręką drżącą bił się w piersi, jak pokutnik.

Marynia jedna zwróciła uwagę na tę niemą rozmowę ojca z Sędzią całego świata, i choć jej treści znać nie mogła — sercem córki odgadła, że coś wielkiego w ojcowskiej duszy się dzieje, skoro mu twarz tak dziwnie, jakby wyrazem zachwycenia wyszlachetniała.

A kiedy Roma, rzuciwszy okiem w jego stronę, uderzona wzniosłością tą w spojrzeniu i obliczu starego, instynktownie podniosła się pod wrażeniem tej chwili, Marynia zatrzymała ją gestem i szepnęła cichutko:

— Nie przeszkadzaj, ojciec się modli!

I wszyscy, jakby tajemniczym wpływem czegoś nieokreślonego, co spływało na nich z góry i nastrajało na ton dziwnie uroczysty, pozostali w miejscu, ze czcią i współczuciem spoglądając na pana Mieczysława; nie śmieli się poruszyć, ani odezwać, dopóki tej rozmowy z Bogiem nie skończy.

On zaś zdawał się wznosić duchem coraz wyżej i dźwigać coraz silniej, krzepiony wewnątrz, jakby na swoje błagalne prośby i pytania otrzymywał odpowiedzi z góry, bo łzy mu obficiej z oczu spadały, głową potrząsał, ustami ruszał, a coraz więcej pogodniało mu oblicze jakimś spokojem i otuchą...

Westchnął nareszcie głęboko, głowę pochylił z pokłonem, w milczeniu zrobił krzyż na piersiach i jakby ocucony z widzenia cudownego, spojrzał dokoła siebie, a po chwili, podniósłszy się z fotelu, głosem łagodnym, pełnym miłości i jakiejś pokornej rezygnacyi, odezwał się:

— Do jutra moje dzieci, do jutra!

Roma pierwsza poskoczyła, aby mu ucałować rękę; tak się jej czegoś serce przepełnione czuło, jak gdyby po nabożeństwie w kościele.

Za jej przykładem poszli inni, żegnając na dobranoc, jak codzień, pana Mieczysława, który powtarzał nad chylącemi się przed nim głowami swoich dzieci słowa, brzmiące dziś w jego ustach echem myśli i modłów, wysnuwanych z głębi serca przed chwilą:

— Do jutra, do jutra!...

K O N I E C.

oddziały stanowczo na pierwsze wybory, ale zawsze, jak to słusznie podniósł także tutejszy *Vaterland*, zaznaczyły się siłą rozkładową: agitacye tak zwanej frakcyi chrześcijańsko-socyalnej, mianowicie w okręgach Alost i Leodyum. Tam ta frakcya w niesłychanie namiętny sposób zwalczała kandydaturę b. ministra Woestego. Mąż ten w belgijskim obozie katolickim zajmuje mniej więcej tę samą pozycyę polityczną, co w austryackim hr. Hohenwart, nie jest ateistą, lecz gorliwym katolikiem, nie jest liberałem lecz konserwatystą, nie jest reakcyonaryuszem, któryby uszczuplał swobody publiczne, choć obstaje przy konieczności ładzie społecznym i państwowym. I takiego męża stanu belgijska frakcya chrześcijańsko-socyalna zwalcza z niesłychaną namiętnością, którejbyśmy nawet zrozumieć nie mogli, gdybyśmy od roku w organach tutejszych tej samej frakcyi nie czytali niegodnych napaści na hr. Hohenwarta! Ojciec św. w słynnej encyklice w kwestyi robotniczej uroczyście zatwierdził dawną naukę Kościoła, według której własność indywidualna, tak samo, jak rodzina, jest prawem naturalnem, przyrodzonem, a więc starszem od państwa. Socyalizm zaś ów znosi zasadniczo tak własność prywatną jak rodzinę, a więc wręcz sprzeciwia się dwom głównym podstawom społecznym, uświęconym przez Kościół. Wszelkie zatem kokietowanie z socyalizmem, pod jaką bądź firmą, choćby pod „chrześcijańską", jest zboczeniem z prawej drogi i może tylko obóz katolicki narazić na niebezpieczeństwa wewnętrzne wielkie. Dawniej w Belgii ten prąd chrześcijańsko-socyalny odgrywał się tylko teoretycznie. Teraz już, w skutek powołania mas do urny wyborczej, zdołał w Leodyum wystąpić z osobną listą kandydatów, która wprawdzie niewiele tylko zwyciężyła socyalistom tem epitetu, ale otrzymała aż 24.000 głosów, w Alost zaś wywołało najbardziej gorszące katastrofy z najwybitniejszym kandydatem — p. Woestem!

Oto niemo skutki belgijskiej reformy wyborczej. Przeszłoroczny projekt hrab. Taaffego był jeszcze niebezpieczniejszy. Chociaż bowiem, zatrzymując bez zmiany kurye w. posiadłości i Izb handlowych, tymczasowo zapewniał nowej Izbie pewne jądro konserwatywne, ale przyznawał niezwykłą przewagę nowym wyborcom w kuryach włościańskiej i mieszczańskiej głosowanie powszechne, nawet bez głosów pluralnych, narażał te dwie kurye, czyli ogromną większość ludności, nietylko na to samo ewolucye ku radykalizmowi i socyalizmowi, które się dokonał w pewnej części Belgii. Prawdopodobnie na podstawie takiej ustawy wyborczej niemiecka lewica w tych dwóch kuryach byłaby utrzymała. Ale czyżby to przyniosło korzyść konserwatyzmowi, nam i Austryi, gdyby w miejsce wypartych posłów niemiecko-liberalnych byli wstąpili do Izby radykaliści niemiecko-narodowi, socyaliści, młodoczesi i chrześcijańsko-socyalni? Z niemiecką lewicą, ut figura docet, nawet mąż stanu tak konserwatywny, jak hr. Hohenwart, w pewnych warunkach może zawierać kompromis. Z wymienionemi frakcyami radykalnemi trzebaby staczać ciągle nawzajem walkę na wszystkich polach, we wszystkich kwestyach — nie wyjmując kwestyi bytu monarchii. (Jakoż w Belgii nowa opozycya radykałów i socyalistów niewątpliwie otwarcie wywiesi sztandar republikański, a sama opozycya przygotowywać będzie wcielenie południowych, frankońskich prowincyi belgijskich do Francyi).

Na szczęście wyprawi polityczny obecny nasi natychmiast zerwał się z niebezpiecznych skrajności reformy wyborczej a la Steinbach. Pierwsza próba nowej ustawy belgijskiej, pomimo zwycięstwa stronnictwa katolickiego, może nas tylko utwierdzić we wstręcie przeciwko wszelkiej „reformie", któraby mogła, jak to widzimy, socyalizmowi i radykalizmowi. Jeżeli socyaliści, albo uwiedzeni frazesami młodzieńcy domagają się powszechnego głosowania, warto przypomnieć słynne wiersz z Francyi: „La propriété c'est le liberté!" (Własność to swoboda). Zaostrz własność osobistą, socyalizm znosi też wolność, a tych wyborców, który hołdował socyalizm na historyczny ustrój społeczny, musi koniecznie prowadzić do wolności, lecz do despotyzmu, jakiego świat nie znał dotąd, ani nawet w Rzymie Tiberyusza i Diokleczyana!

Co najwięcej, można zaś pożyteczność kombinacyi, na podstawie której do parlamentu weszłoby kilkunastu reprezentantów robotników, aby tam bezpośrednio reprezentanci ogółu wyłożyć specyalne życzenia swych wyborców. Na tem wszystko zupełnie niewoczne nowej, piątej kuryi wyborczej. Zatrzymanie 4 kuryi dawnych, przy całkowitem przeobrażeniu wewnętrznem dwóch z nich, n'e miało żadnej racyi, groziło wszelkiemi niebezpieczeństwami. Ale przyłączenie 5 tej nowej kuryi do dawnych *telles quelles*, stanowi normalny rozwój. Miejmy nadzieję, że gabinet koalicyjny nie odstąpi od tej zdrowej myśli. Natomiast liczba 40 posłów nowej kuryi jest zbyt wielka. Zachciałoby to tylko posłów robotników bawić się w dynamikę parlamentarną, zamiast wykładać w parlamencie potrzeby robotników i stawiać pozytywne wnioski. Na to wystarczy 20 posłów nowej kuryi, n. p. 6 dla Galicyi, 4 dla Czech, 3 dla dolnej Austryi, 2 dla Morawii i Szląska itd. Bądź co bądź, w czasach, gdy powszechne głosowanie tak źle się spisało w Niemczech i Francyi, a nawet znacznie mitygowane głosami pluralnemi, do parlamentu belgijskiego wprowadziło tak liczny zastęp radykałów i socyalistów, nie można zalecać Austryi żadnej kombinacyi, któraby się jako tako zbliżała do powszechnego głosowania.

4) Priessnitz. Rikli. Kneipp.

Widzimy zatem, że zakłady nie mogą, pomimo najlepszych chęci, stosować wody tak skutecznie, jak to stosujemy, lecząc chorych w domu. Pomimo to wyrobił się między ludźmi mniemanie, że właśnie tylko zakłady używają zimnej wody tak, jak potrzeba, gdyż postępują ściśle według Priessnitza. Mniemanie to jest, jak wykazałem, przesądem, który ciąży, jakby jaka zmora, na umysłach ludzkich. Szkodliwy wpływ tego przesądu odczuwają wszyscy, i chorzy i zakłady i lekarze. Chorzy czują, że stosowanie wody w zakładach nie jest ani tak przyjemne, ani tak proste, jak kąpiele naturalne, albo jak leczenie stosowanie zimnej wody w domu. Powtóre, chorym mówi już zdrowy rozum, że jeżeli wodą przyjemnie zimną można osiągnąć to samo, co wodą zimną, to nie ma powodu uciekać się do wody rażąco zimnej, bo gdy do wyboru dwie drogi, z których jedna jest prosta i przyjemna, druga zaś kręta i uciążliwa, należy wybierać drogę pierwszą. Pomimo tego tak logicznego rozumowania znoszą chorzy cierpliwie i z rezygnacyą priessnitzowski sposób stosowania wody, bo stając pod wpływem wspomnianego mniemania*) sądzą, że tak postąpić muszą. Zakłady stosowałyby wody według dotychczasowych reguł, gdyby ich nie krępował wzgląd na wspomniany przesąd, z którym muszą się liczyć, chcąc mieć klientelę. Lekarze zaś wreszcie wysyłaliby chorych leczenie chętniej, niż to czynią teraz, do zakładów, gdyby ich od tego nie powstrzymywała obawa, że będą tam tych chorych zanadto i za często oziębiać.

Wszyscy odczuwają tedy szkodliwy wpływ przesądu, o którym mowa, a jednak nikt nie ma odwagi, wystąpić przeciw niemu i wykazać jego niedorzeczność. A choć który z lekarzy to uczyni, to albo nie zważają na niego, albo przypisują to jego chęci rozgłosu. Urok**) bowiem „suggestyi", jaką Priessnitz ongi wywierał, działa jeszcze i dziś tak, że wyobrażenia jego o leczeniu mają w oczach ludzkich większe znaczenie, niż wyobrażenia umiejętnej lekarskiej.

Tak stały rzeczy jeszcze do niedawna, tj. do pojawienia się na widowni Kneippa, ludowego lekarza w Wörishofen. Kneipp miał odwagę wystąpić śmiało przeciw przesądowi, o którym mowa, i wykazał nie tylko swym kazaniem, ale i praktyką, że jest właściwie jajem Kolumba, to jest, że do dopomagania naturze zimną wodą nie potrzeba koniecznie stosować wody zimnej, jeno innym sposobem stosowania wody osiągamy to samo. Argumentem tym obalił Kneipp wspomniany przesąd, skruszył owe więzy, któremi umysł ludzki od czasów Priessnitza krępował i sprawił, że ludzkość europejska, jak gdyby obudzona z letargu, odetchnęła swobodnie.

Kto oswobadza ludzi od szkodliwych przesądów, ten staje się ich dobroczyńcą, zasługuje na wdzięczność. Dlatego to ma ludzkość europejska Kneippa jako wybawcą swego. Słusznie rozchodzi się sława jego po całej Europie, i słusznie składają mu ludy hołdy. Ale tu działać zaczyna znów przesąd, i równa się przesądowi szałowi. Ale właśnie to przesadne uniesienie sprawiło, że heroiczny czyn Kneippa przyniósł ludziom tylko chwilową korzyść. W uniesieniu swem bowiem widzą ludy europejskie w Kneippie istotę niezwykłą, a skutkiem tego wyrobił się o jego sposobie stosowania zimnej wody taki sam przesąd, jaki się ongi był wyrobił o sposobach priessnitzowskich. Cała korzyść przeto olbrzymiego dzieła Kneippa spełzła na niczem, gdyż zamiast przesądu dawniejszego dźwiga teraz ludność europejska jarzmo przesądu nowego.

Miejmy jednak nadzieję, że rychlej, czy później przyjdzie znowu jaki lekarz ludowy, i oswobodzi ludzkość także od tego przesądu. Pokładam nadzieję w ludowych lekarzach dlatego, bo oni trafiają łatwiej do przekonania owego świata, do którego sami należą, to jest świata nielekarskiego. Wszak z lekarzy rzeczywistych występował, jak wspomniałem, już nie jeden przeciw złudnemu mniemaniu, o którem tu mowa, i wykazywał, że ono jest przesądem, ale mu nie wierzono. Skoro zaś Kneipp, a więc ludowy lekarz, wykazał to samo, natychmiast uwierzyła mu cała Europa.

* * *

Noszenie wilgotnej opaski, o której wyżej wspomniałem i popijanie wody źródlanej zalecamy takim chorym, którzy cierpią na uporczywe zaburzenia w narządach brzusznych.

Co do chodzenia boso, musimy o niem pomówić obszernie, gdyż jest to bardzo ważny czynnik uzdrowiskowy, a to z powodu następującego.

Wiadomo, że u osób, chodzących zawsze w obuwiu, nie stykają się stopy prawie nigdy bezpośrednio ani z powietrzem, ani z ciepłem i światłem słonecznem. Stąd wynikają dla zdrowia dwie wielkie niekorzyści. Stopy są po pierwsze pozbawione leczniczego wpływu wymienionych czynników, a powtóre, nie mogą pozbywać się swobodnie swej transpiracyi, lecz muszą, że tak powiem, dusić się w atmosferze, zanieczyszczonej tą transpiracyą. Ażeby przeto stopy mogły transpirować swobodnie, należy, bawiąc w uzdrowisku i na wolnem powietrzu, przechadzać się boso, albo przynajmniej w sandałach.

Im cieplejszem jest powietrze i im równiejszą owa powierzchnia, po której się przechadzamy, tem przyjemniejszem i tem skuteczniejszem jest chodzenie boso. Stąd też jest ono najskuteczniejszem w ciepłej porze roku i w takiej porze dnia, w której powietrze jest już dostatecznie ogrzanem, a nadto wtedy, jeśli mamy sposobność przechadzać się po czemś miękkiem, np. po trawniku, albo po piasku, ogrzanym przez słońce. W takich warunkach mogą stopy transpirować jak najswobodniej.

Czynność ta odbywa się tem prawidłowiej, im czystszemi są stopy. Z tego powodu należy je obmywać każdym razem tak przed, jak i po chodzeniu boso. Obmywanie to możemy zastąpić chwilowem przechadzaniem się w wodzie, n. p. w strumyku, lub w płytkiej sadzawce. Jeszcze lepiej nadają się ku temu płaszczyzny nadmorskie. Tam bowiem możemy przechadzać się na przemianę to w wodzie, to po piasku zwilżonym i ogrzanym przez słońce. Przyjemność, jaką takie przechadzanie się sprawia, jest tak niezwykłą, że się nie da opisać, lecz potrzeba ją odczuć na własnej osobie.

Jeśli w miejscu pobytu naszego nie mamy płaszczyzny, pokrytej piaskiem lub trawą, to możemy przechadzać się także po gruncie twardym i nierównym, ale natenczas powinniśmy nosić sandały, aby nam twardość gruntu nie sprawiała przykrości.

Całkiem inne wyobrażenie ma o chodzeniu boso lud prosty i tacy lekarze ludowi, którzy czerpią swą wiedzę z tradycyi ludowej. Lekarze ci słyszeli wprawdzie, że chodzenie boso jest bardzo skutecznym środkiem leczniczym, ale dlaczego i w jakich warunkach, tego nie wiedzą wcale. Stąd też wyobrażają sobie o chodzeniu boso to samo, co o zimnej wodzie, t. j. sądzą, że chodzenie boso jest tem skuteczniejszem, im jest przykrzejszem. Dlatego też radzą swym zwolennikom przechadzać się po czemś ile możności zimnem, n. p. po zimnej rosie, albo nawet po śniegu. Nie uwzględniają zatem, że przechadzanie się po śniegu sprawia wprawdzie także wrażenie przyjemne, wszelako tylko miłośnikom, gdyż jest to już rodzaj sportu.

Sport ten można porównać ze ślizganiem się na łyżwach, ale z przeszkodami. Wiadomo, że ślizganie się bez przeszkód jest sportem równie przyjemnym, jak i zdrowym. Ślizganie się zaś z przeszkodami sprawia także pewną przyjemność, wszelako tylko miłośnikom sportu hazardownego.

„Chodzenie boso" jest jako ludowy środek leczniczy już od dawna w używaniu, gdyż już Priessnitz zalecał go swej klienteli. Po śmierci Priessnitza jednak zaczęto poniekąd zaniedbywać ten środek. Dopiero Rikli, najzdolniejszy tegoczesny lekarz ludowy, poznał leczniczą doniosłość tego środka i zaczął go stosować na wielką skalę. Za jego przykładem idą teraz inni lekarze ludowi i niejeden z nich zawdzięcza głównie zbawiennemu działaniu tego środka ową głośną sławę, której nabywa. C. d. n.

*) Szkodliwy wpływ tego mniemania daje się najlepiej widzieć na kuracyuszach w uzdrowisku Veldes. Klimat tego uroczego uzdrowiska jest wyborny, a woda w jeziorze tamecznem jest w sezonie letnim tak przyjemna, że zdaje się być jakby stworzoną do leczenia kąpielami naturalnemi. Pomimo to chorzy, przybywający do Veldes w celu leczenia się wodą, nie korzystają z tego jeziora, lecz idą do zakładu i tam się dają kosztem zakładu zamecznego, i przez pół godziny zamęczać, co tameczny lekarz ludowy robić im zaleca.

**) Urok ten przeszedł przez działanie „autosuggestyi" na teraźniejszą generacyę kąpielowych posługaczy w Graefenbergu. Posługacze ci bowiem uchodzą w opinii ludu za istoty, obdarzone szczególnym darem leczenia wodą. Z tego powodu muszą zakłady, jeśli chcą mieć znaczną klientelę, sprowadzać posługaczy z Graefenbergu.

Choroba cara.

Biuletyny wydane wczoraj o stanie zdrowia cara nie przyniosły nic nowego. Czynność serca się nie zwiększyła, siły ciągle opadają, opuchlina nóg postępuje. Car nie może leżeć w łóżku, bo się dusi; siedzi przeto całemi godzinami w fotelu i od czasu do czasu z wysiłkiem przechadza się po pokoju. Onegdaj wieczorem przechadzał się nawet przez pewien czas po parku w Liwadyi. Fakt ten dał powód do rozszerzenia pogłoski, iż stan zdrowia cara tak się polepszył, że można nawet mieć nadzieję na powrót jego do zdrowia. Nadzieja ta jest atoli zupełnie bezpodstawną. Stan zdrowia cara jest ciągle beznadziejny, a spacer ów po parku, pogorszył nawet chorobę, gdyż, jak donoszą, po spacerze nogi carowi jeszcze bardziej opuchły, tak, że musiano robić na nich cięcia, aby woda odeszła. W każdym razie jednak jeżeli nie nastąpią nowe komplikacye, których lekarze się obawiają — słabość cara może jeszcze kilka dni potrwać. Charakterystycznem jest to, iż dr. Leyden, w liście prywatnym wystosowanym do rodziny, doniósł, że wkrótce wróci do Berlina i rozpocznie wykłady na swej klinice. Wnioskować ztąd należy, że Leyden przewiduje, iż śmierć wkrótce nastąpi. Wiadomość podana przed kilku dniami prawie przez wszystkie dzienniki, iż car leży w agonii, powstała wskutek pierwszego oficyalnego biuletynu, w którym była mowa o nadzwyczaj wielkiem zmniejszeniu się czynności serca i o upadku sił.

W kołach dworskich opowiadają, że carowę dopiero w zeszły piątek zawiadomiono o rzeczywistym stanie rzeczy; do tej pory ukrywano przed nią, że nie ma żadnej nadziei utrzymania jej męża przy życiu. Skoro powiedziano jej nagą prawdę, przerażenie jej i wzruszenie było tak silne, że upadła nieprzytomna, tknięta porażeniem nerwów. Skutkiem tego ataku obie nogi jej są sparaliżowane, a nadto, jak już to wczoraj donieśliśmy, porusza nerwowo głową to w prawo, to w lewo i ciągle spazmatycznie płacze.

Z Petersburga donoszą, że wśród ludności rosyjskiej panuje wielki niepokój z powodu niepewnej przyszłości i niewiadomego dalszego rozwoju wypadków. Wszystkie kwestye polityki bieżącej przestały zupełnie interesować zaniepokojoną opinię publiczną. Na ulicach stolicy znać widoczne wzburzenie. Publiczność z niecierpliwością oczekuje co godzina nowych wiadomości o stanie cara, biuletyny ogłaszane bywają jednak rzadko i brzmią bardzo lakonicznie.

Nie dające się skontrolować najsensacyjniejsze pogłoski, które krążą z ust do ust, powiększają niesłychanie niepokój. Bardzo jest prawdopodobne, że chwila wstąpienia Mikołaja II na tron, stanie się hasłem do rozmaitych zaburzeń i zawikłań. Pośród ludu panuje zabobon, że po śmierci carewicza Mikołaja, starszego brata cara Aleksandra III, na tron rosyjski nie wstąpi nigdy car nazwiskiem Mikołaj. Zresztą wśród ludu pozostały jeszcze obawa i wstręt do rządów mikołajowskich; na to liczą przywódzcy obecnego ruchu antidynastycznego i rozszerzają wieści, iż z chwilą objęcia rządów przez Mikołaja II, powrócą dawne, znienawidzone mikołajowskie czasy.

Dziś ma się odbyć ślub carewicza z księżniczką Alicyą. Ślub ten przyspieszono nietylko dlatego, że car wyraził życzenie, aby ceremonia ślubna odbyła się jeszcze przed jego śmiercią, ale także i dlatego, że według domowych praw domu Romanowów, ustanowionych przez cara Pawła I, każdy następca tronu musi być, gdy kończy 21 rok, już żonaty, gdyż inaczej traci prawo do tronu. Gdy z chwilą wstąpienia na tron następca tronu jest jeszcze bezdzietny, musi natychmiast według powyższego prawa, być naznaczony najbliższy krewny następcą tronu, a wojsko i urzędnicy składają przysięgę nowemu carowi i proklamowanemu następcy tronu. Tym postanowieniom należy przypisać doniesienie o proklamowaniu wielkiego księcia Michała następcą tronu, który faktycznie w razie śmierci cara i objęciu rządów przez Mikołaja II, musiałby być proklamowany następcą tronu, albowiem carewicz Mikołaj nie ma dzieci, a w. ks. Jerzy skutkiem choroby, musi zrzec się tronu.

Z Berlina donoszą, że choroba cara wywarła na cesarzu Wilhelmie silne wrażenie. Widać na nim wielkie przygnębienie w skutek złych wieści, które nadchodzą z Liwadyi, a przed kilku dniami, podczas swej bytności w Darmsztadzie, przy obiedzie dworskim odezwał się do w. ks. heskiego: „Wiadomości dochodzące z Liwadyi, pozbawiają mnie zupełnie apetytu".

W Londynie podczas wczorajszego nabożeństwa w bóżnicy żydowskiej przyszło do burzliwych scen. Rabin, odprawiając modlitwy, wezwał zebranych, aby się pomodlili na intencyę wyzdrowienia cara. Obecni w synagodze żydzi, przeważnie wydaleni z Rosyi, przyjęli to wezwanie okrzykami oburzenia. W odpowiedzi na to rabin upomniał hałasujących, że modlić się należy także za prześladowców i że gdyby Bóg użyczył carowi zdrowia, będzie on niezawodnie dla żydów łaskawszym.

KRONIKA.

Lwów 24 października.

JE. ks. Alfred Windischgraetz, prezes austryackiego gabinetu, który przybył do Lwowa na ślub swej kuzynki księżniczni Karli Windischgraetzówny, odjechał wczoraj wieczorem do Wiednia.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór adwokata krajowego, dra Emila Adelmanna, na prezesa i notaryusza, Gustawa Klemensiewicza, na zastępcę prezesa Rady powiatowej w Myślenicach.

Mianowania. Prezydent sądu krajowego wyższego w Krakowie nadał posady oficyałów przy tym sądzie krajowym wyższym: Maksymilianowi Köhlerowi, zarządcy więzień sądu obwodowego w Wadowicach i Aleksandrowi Jaroszewskiemu, kanceliście sądu krajowego w Krakowie.

Kontrolor poczty w Czerniowcach, Antoni Górski, mianowany starszym kontrolorem.

Przeniesienia. Notaryusz w Wojniczu dr. Stanisław Bartman przeniesiony do Dąbrowy.

Druga główna wygrana losów lwowskiej loteryi wystawowej przypadła w udziale ubogiej wdowie Kolhamowej w Neumarkt koło Lincu.

Z Wiednia donoszą, że główną wygraną loteryi wystawowej w kwocie 60.000 zł. wygrał jakiś mieszkaniec miasta Bozen w Tyrolu.

W Berlinie rozeszła się wczoraj wieczorem pogłoska, iż Bismark uległ atakowi apoplektycznemu.

Ślub. W kościele parafialnym rz.-kat. w Radenicach odbył się dziś ślub p. Sebastyana Bara, urzędnika poczty, z panną Stanisławą Kaczorowską, córką Ludwika i Julii, dzierżawców dóbr Rademic.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Krakowie i Krośnie rozpisały z terminem do końca listopada b. r. konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich.

Ze sfer adwokackich. Wydział samborskiej Izby adwokackiej w miejsce dra Izydora Taubenfelda mianował dra Juliana Kmicikiewicza, adwokata w Drohobyczu, jeneralnym substytutem zmarłego adwokata dra Marcelego Doboszyńskiego.

W Czytelni katolickiej odbędzie się we czwartek 25 b. m. pogadanka „O sprawach bieżących". Początek o 7 wieczorem.

Dwie próbki bezpieczeństwa publicznego we Lwowie komunikują nam z miasta. Na ulicy Zyblikiewicza przy wykopywaniu olbrzymich masztów sosnowych, które stanowiły tryumfalną drogę podczas pobytu cesarskiego, robotnicy tak nieostrożnie zwalili jeden z tych masztów, że o mały włos nie zabił człowieka, gdyż prawie otarł się o niego. *Vis a vis* Grand Hotelu kanał przykryty jest spróchniałemi deskami. Wczoraj właśnie koń dorożkarski załamał się na tej niebezpiecznej pokrywie i wpadł tylnemi nogami do kanału, ocalając w ten sposób przechodnia, który po gruntowniejszem jeszcze przegniciu pokrywy, to znaczy za tydzień lub dwa, wpadłby z pewnością do jamy, stanąwszy na tej fatalnej pułapce.

Do księżniczki Alicyi, narzeczonej carewicza, z powodu przybycia jej do Rosyi, Rada m. Moskwy wysłała telegram powitalny. Księżniczka na telegram ten odpowiedziała jak następuje:

„Do głębi wzruszona, że Moskwa pamiętała o mnie w chwili, gdym wstąpiła na ziemie nowej mi, a od dawna już drogiej ojczyzny, dziękujemy serdecznie ja i siostra moja pierwszej, prastarej stolicy państwa. Nie wątpimy o szczerości modłów, jakie zanosicie za zdrowie ukochanego cesarza. Bóg niechaj nam pomoże! *Alicya*".

Kłopoty z asekuracyą. Piszą nam z Buczackiego: Policami do l. 70240 i 70241 ubezpieczył Józef Mierzwiak, gospodarz z Nagórzanki, powiatu buczackiego, swoje budynki i zboże w „Slavii" i opłacił premie. Dnia 15 bm. o 2 godzinie po północy wybuchł pożar, który zniszczył do szczętu nietylko stodołę Mierzwiaka, ubezpieczoną na 190 zł. i zboże, ubezpieczone na 252 zł., lecz także zboże i ruchomości nigdzie nie ubezpieczone, a należące do tego samego Józefa Mierzwiaka, a których wartość wynosi kilkaset zł. Przyczyna pożaru nie wiadoma, to tylko pewnem, że zła wola ubezpieczonego nie ma tu miejsca.

O pogorzeli doniesiono zaraz dnia 15 b. m. listem poleconym jeneralnej reprezentacyi „Slavii" we Lwowie z prośbą o rychłe przeprowadzenie likwidacyi szkody, na co „Slavia" dotychczas ani jednem słówkiem nie odpowiada i likwidacyi szkody nie przeprowadza, a tymczasem biedny poszkodowany z głodu ginie, gdyż będąc „ubezpieczonym" o jałmużnę i zapomogę żebrać nie może, bo każdy mu odpowiada, że od „Slavii" pieniądze dostanie.

162)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Ledwo szczytem dosięgały głowy najwyższego kolosu, pstrzyły się od różnobarwnych granitów i porfirów, a wyglądały krępo, nisko. Każdy bok ich kwadratowej podstawy mierzył dwa razy tyle, co ich wysokość. Były to jakieś przypłaszczone stożki, pokryte połyskującemi schodami, u których szczytu siedziały po parze maleńkie na pozór kamienne figurki, posągi dawno umarłych królów i królowych, w samej rzeczy kolosalne, mierzące po trzy sążnie wysokości mimo to, że siedziały, a nie stały.

Tylko ludzie żywi wydawali się w tem otoczeniu jakiemiś ledwo dostrzeżonemi mrówkami. Człowiek znikał w obliczu dzieł własnych. Jakieś owady ludzkie obsiadły piramidę Amenemhy III, rojąc się z rzadka po schodach kamiennej mogiły i odsełając promienie świtu metalicznemi odblaskami zbroi i oręża, a inna garstka podobnych owadów stała nieopodal. Byli to ludzie Amenty i owi Grecy, którzy z nimi w nocy bój stoczyli.

Hesz-Aker zbudziła się i patrzała na wielkie cmentarzysko. Przechyliła się do Amenty i rzekła:

— Uchodźmy ztąd, ukochany! Przebijmy się do miasta.

Amento patrzał na nią długo i rzewnie; potem odrzekł:

— Gdyby ciebie nie było, wiem, żebym się przebił.

— A zemną dlaczego nie?

— Aby się przebić, trzeba będzie tam na dole bój stoczyć z tymi ludźmi. Jeźli będziemy ciebie strzedz, nie będziemy mieć swobodnych ruchów, a oni zwyciężą. Gdybyśmy ciebie nie otoczyli, porwaliby ciebie i uszliby z łupem. Musimy tu zostać; ze stromej piramidy oprzemy się każdemu napadowi. Musimy jednak zająć sam szczyt. Teraz jest dzień, barbarzyńcy widzą wszystko i obejdą nas, jeźli zostaniemy tu, gdzie jesteśmy, a wtedy przepadniemy.

Po tych słowach wydał Amento rozkazy. Sam poprowadził Hesz-Akerę na platformę u szczytu piramidy i siadł z nią między nogami kolosu jej przodka Amenemhy III, owego pradawnego Faraona, który wykopał przed wiekami jezioro Meris i wystawił nieopodal od Memfis bajeczny pałac zwany labiryntem. Żołnierze Amenty obsiedli gęstym wieńcem brzeg zewnętrzny platformy.

Hesz-Aker spytała się Amenty:

— Czy nie ma śniadania dla nas i dla twoich żołnierzy?

— Nie ma, — odparł Amento.

I znowu zaległo milczenie pomnik grobowy. Słychać było tylko szmer głosów, który dochodził od Greków, naradzających się nad czemś.

— I dopókiż będziemy tu czekać? — spytała się potem znów Hesz-Aker, przerywając grobową ciszę.

Amento przycisnął ją do siebie i ucałował jej usta i oczy, a potem odrzekł:

— Mówiłem ci, że nam sądzono aż do śmierci strzedz grobu ojców, małżonko moja!

Przytuliła się do niego i siedzieli milcząc, trzymając się za obie ręce. Wzrok ich biegł ciągle ku miastu. Dostrzegli wielki, ruchomy tuman kurzu od strony miasta bogów.

— Jakieś wojsko idzie, — odezwała się Hesz-Aker.

— To albo odsiecz, albo zguba, — odparł Amento.

— To zguba! — rzekła dziewczyna, — odsieczy dla mnie nie będzie.

I to była zguba. Grecy z pod piramidy posłali jeszcze w nocy posłańców do Danausa i Kekropsa i hetmani barbarzyńców wiedli całe wojsko Achajów i Tyrzenów, kilka tysięcy męża, na zdobycie rękojmi zwycięstwa, wskazanej im przez bogów nieśmiertelnych. Naprzód biegli jeźdźcy na koniach, oklep, z okrągłemi tarczami na ramieniu i krótkiemi mieczami u pasa. Stanęli przy Grekach, którzy nocowali pod piramidą i rozmawiali z nimi nie zsiadając z konia.

Rwetes i tętent zbliżały się z każdą chwilą. Słychać je było coraz wyraźniej, a pieśń dzika, bojowa barbarzyńców rozlegała się po cmentarzu. Przodem jechał długi szereg rydwanów, na których stali bohaterowie Achajów. A przy każdym przykląkł woźnica. Za bohaterami szła piechota, różnie zbrojna, trzymająca się nieporządnie szeregów, podzielona podług plemion. Ludzie z każdego plemienia, szli za swoim własnym wodzem jadącym przodem, stępo na rydwanie. Jedni miel krótkie miecze przy boku, ogromne tarcze z wołowej albo jeleniej skóry u ramienia, a w ręku topory krzemienne; inni potrząsali długiemi dzidami o krzemiennem ostrzu. Niektórzy wreszcie byli uzbrojeni w łuki i strzały, albo w proce i małe ostrzone krzemiona. Potem była przerwa i Tyrzenowie szli za Grekami. Wodzowie Italików jechali konno, a ludy ich nie różniły się od Achajów.

Danaus podjechał pod tych, którzy między piramidami noc przepędzili i wydał rozkaz, aby wojska stanęły i zamilkły; ułożyły się w wielkiem półkolu pomiędzy piramidami. Danaus i Kekrops wypytywali się o wszystkie szczegóły nocy i oglądali zwłoki Diomedonta i Elpinoi, potrząsając brodami.

Kekrops wołał:

— Pomścimy się na Egipcyanach. Niechbyśmy tylko tę czarną gołębicę dostali w ręce! Skujemy jej ręce i nogi i przywiążemy do deski na wozie, aby się ruszyć nie mogła. Odrazu wyłupimy jej oczy. Będziemy ją zalewać jadłem na to, aby żyła póty, póki Egiptu ze wszystkiem nie podbijemy. Potem wymyślimy straszne męki, aby konała powoli przez dni kilka i kilka nocy.

Ale przedewszystkiem trzeba było dostać do rąk ową gołębicę, od której posiadania zawisło zwycięstwo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Taka opieszałość naraża pogorzelca na ogromne straty i nie powinna się zdarzać. Krakowskie towarzystwo na wypadek pogorzeli dzisiaj poszkodowanym wraz zaliczki i wszelką szkodę likwiduje natychmiast sumiennie. *Teodor Kosarczyn.*

Z Drohobycza donoszą: W mieście naszem bawi od kilku dni żydowski teatr i cieszy się wielkiem powodzeniem. W sobotę, jako w dzień świąteczny, sala była przepełnioną widzami. Nagle podczas przedstawienia rozległ się na galeryi krzyk, że się pali. Publiczność przestraszona zerwała się z krzeseł i chciała wyjść na salę. Skoro jednak ktoś dla uspokojenia umysłów oświadczył, że ogień wybuchnął daleko za miastem, publiczność na chwilę się uspokoiła, ale na powtórne krzyk z galeryi, zkąd ogień można było widzieć, że się w bliskości pali, wszyscy w jak największym pośpiechu zerwali się z krzeseł i poniekąd bądź przez główne, bądź przez boczne drzwi, a nawet przez okna.

Dzięki energii straży policyjnej, która natychmiast postawiła wszystkie wyjścia, nie było żadnego nieszczęśliwego wypadku, skończyło się tylko na popłochu. Ogień, który tak przeraził publiczność zebraną w teatrze, wybuchł w kuczce w domu Izaaka Reicha, znajdującym się niedaleko teatru. Straż pożarna zdołała pożar zlokalizować, spłonął tylko dom Reicha.

Napad na pociąg. Gdy dnia 16go bm. przedpołudniowy kuryer numer 4 do Jezierzy wjeżdżał, obrzucili go niewiadomi dotychczas złoczyńcy kamieniami. Na szczęście, nie wyrządzono znaczniejszej szkody, tylko stłuczoną została szyba w wagonie pakunkowym i budka do bremzera (Bremsbude) uszkodzono. Konduktora trafił wprawdzie kamień, ale zranił go jednakże. Zdaje się, że wieśniacy pracujący na polu, zdobyli się na ten zbrodniczy pomysł.

Zuchwała zbrodnia. Z Medyolanu donoszą, że całe miasto wzburzone jest zuchwałą zbrodnią, której dokonano w nocy ze środy na czwartek zeszłego tygodnia w ogrodzie publicznym, znajdującym się w samym środku miasta. We czwartek zrana robotnicy, dążący do pracy, spostrzegli na trawniku pokrwawione zwłoki starca, elegancko ubranego, zamordowanego trzema pchnięciami sztyletu w piersi. Przy starcu znaleziono liczne papiery, oraz bilet pięćdziesięciofrankowy. Zbrodniarzy dotychczas nie wykryto. Śledztwo wykazało, że zamordowany nazywa się August Bruggiser, że był bogatym przemysłowcem pochodzenia szwajcarskiego, stale zamieszkującym we Florencyi.

Kongres wolnomularzy włoskich odbył się w zeszłym miesiącu w Medyolanie pod prezydencyą wielkiego mistrza Adriano Lemmi. Głównym celem kongresu było potępienie ostatniej mowy Crispiego w Neapolu oraz wykreślenie go z liczby członków loż włoskich, co też nastąpiło za ogólną zgodą.

Panna Vacarescu, ulubienica królowej rumuńskiej Carmen Sylvy, która sama marzyła o tem, aby zasiąść na tronie rumuńskim i miała nadzieję osiągnięcia tego, uwikławszy w sieć miłosną następcę tronu, teraz wyleczyła się po rozwianych marzeniach i w tych dniach poślubiła w Bukareszcie p. Pawła Catargio.

O carewiczu. Wytrawny i wysoce wykształcony wiedeński korespondent *Kuryera Poznańskiego* zapatruje się tak samo jak my na plotki, które rozsiewają niektóre pisma o liberalnych usposobieniach carewicza: „Z uśmiechem politowania — pisze on — czytamy te optymistyczne baśnie. Wszystko to, owszem, przed kilkunastu laty czytaliśmy o ówczesnym carewiczu, a dzisiejszym carze. Zapewniano, że był ożywiony najlepszymi zamiarami, zdecydowany wprowadzić konstytucyę, że chętnie zbliżał się do Polaków etc. I co się stało z tem wszystkiem? Nie zapominajmy nigdy, że niby to wszechmocny car jest niewolnikiem natury, przyrodzonych prądów i tradycyi Moskwy. Jeżeli się od nich oddali, naraża się na większe niebezpieczeństwo osobiste, niż monarcha konstytucyjny. W dziejach caratu prawda ta zapisała się — krwawemi literami. Rosya na łono jest państwem azyatyckiem. Dla tego też tak doskonale umie utwierdzać swe panowanie nad ludami azyatyckiemi. W umieć się do tych zasad federalizmu, które zbyteczne górowały w dawnej Polsce, w Niemczech i przez wieki we Włoszech, ale które ostatecznie pozwalają na pewne uwzględnienie odrębności narodowych i historycznych, mogła się zgodzić Austrya, ale nie może nigdy Rosya. To całkiem sprzeciwia się naturze Rosyi, jak naturze Chin. Rosya z natury musi centralizować i wszystkim swym prowincyom gwałtem narzucać jednolitość tendencyj rosyjskich. [illegible] że Rosya mogłaby uznawać nasze prawa narodowe, byłoby to iluzyą, nie licząc się ani z naturą, ani z tradycyą państwa moskiewskiego. Żaden car tej natury i tradycyi nie zmieni. Więc też jesteśmy pewni, że plotki o lepszem usposobieniu carewicza dzisiejszego tak samo są czczemi plotkami, jak swego czasu doniesienia o dobrych zamiarach dzisiejszego cara".

Schyzma polska w Ameryce. Jeden z księży naszych w Ameryce donosi stamtąd:

Schyzma polska w Cleveland jest hańbą dla Polaków, a zgorszeniem dla Amerykanów. Te niecne i zbrodnicze rozruchy po polskich parafiach tak splamiły w Ameryce imię polskie, że się ono stało równoznaczne z rebelią, rozbojem, anarchizmem. Porządny Polak wstydzi się dziś w Ameryce przyznać się do swej narodowości. Gorsząca schyzma w Cleveland ma swoją genezę. Wiadomo już, że wywołał ją zapadły i wyklęty z Kościoła ks. Kolaszewski.

Kolaszewski nie jest Polakiem, tylko Niemcem mówiącym po polsku. Nazywał się on Rademacher, ale po wyświęceniu — widząc, że między Polakami lepiej mu pójdą interesa — przezwał się Kolaszewskim. W takim wolnym kraju, jak Ameryka, można bezkarnie zmieniać nazwisko, według upodobania i potrzeby. Dziś nazywasz się Schulze, jutro możesz się nazwać Müller. Jeżeli ci z tem dobrze, nikt nie ma nic przeciw temu. Dlatego też zbrodniarze, złodzieje i wszelka europejska hołota przybywa do Ameryki, przybierają sobie inne nazwisko: bo o papiery, dokumenta, świadectwa, nikt tu nie pyta; a że i władze duchowne niebardzo są w tym względzie skrupulatne, więc do stanu duchownego wchodzą indywidua, dla których więzienie byłoby najstosowniejszem mieszkaniem. Ztąd potem te zgorszenia po parafiach.

Z młodości Kolaszewskiego mało kto co wie. Przybył on do Ameryki jako czeladnik ciesielski. Pracując przy klasztorze Kapucynów w Cleveland, upodobał sobie duchowne życie, wstąpił na braciszka, zaczął się uczyć. Kapucyni nie szczędzili mu pomocy. Po niejakim czasie dostał się do seminaryum, a po 6 ciu latach ś. p. ks. biskup Gillmour, potrzebując dla tworzącej się gminy polskiej księdza, wyświęcił go i zamianował proboszczem nowej parafii. Kolaszewski wziął się do budowy Kościoła. I istotnie wybudował najpiękniejszy kościół o dwóch pięknych wieżach. Jako fachowy cieśla, sam wszystko kupował — sam budował, prowadził bez żadnych kontraktorów i budowniczych.

Tymczasem jego niemoralne życie i stąd ciągłe w sądach procesa, z których się zawsze umiał wywinąć, gorszyły całe miasto, a hańba spadała na Polaków. Nowy biskup Horstmann zasuspendował go i usunął z parafii. Odegrały się wtedy gorszące i świętokradzkie sceny — gdyż pewna część warchołów wzięła stronę suspendowanego księdza. Biskup Horstmann nie uląkł się, jak n. p. biskup w Winonie, ale w orszaku księży wszedł do kościoła i ubrawszy się w pontyfikalne szaty, publicznie razem z księdzem wyklął ośmset Polaków z kościoła.

To pomogło — Kolaszewski, tracąc grunt pod nogami, ustąpił, wyjechał (niktby nie uwierzył), dostał znów parafię w Siracuse w Stanie Nowego Jorku. Tu przybrał nazwisko angielskie, a przy kościele założył hydropatyczny zakład á la Kneipp, leczył mnóstwo ludzi i taką miał renomę i klientelę, że nabawił strachu wszystkich w mieście lekarzy. Nareszcie biskup mu tę medycynę zakazał, Kolaszewski jednak nie słuchał, dopiero zaskarżony do sądu przez lekarzy o nieprawne praktykowanie, zamknął swoję hydropatyę, gdyż żądanego przez fakultet medyczny egzaminu nie chciał składać. Nareszcie i stąd go biskup wyrzucił. Kolaszewski wrócił do Cleveland.

W początkach jego duchownej karyery na przedmieściu polskiem w Cleveland było wiele pustego miejsca — kamienistego i pagórkowatego gruntu. Kolaszewski zakupił kilka akrów bardzo tanio. Przy coraz większym napływie emigrantów polskich Kolaszewski podzielił te grunta na parcele pod domy. Sprzedawszy parcelę, budował ludziom za swoje pieniądze domy na amortyzacyjną wypłatę. Z czasem stał się właścicielem wielkiej części zamieszkałego przez Polaków przedmieścia i panem dusz — nie tylko duchowo — ale przedewszystkiem finansowo. Wróciwszy do Cleveland, miał gotowych stronników. Kościół schyzmatycki pobudował — jakiś samozwaniec, wrzekomy biskup Vilatte poświęcił go, a czynszownicy Kolaszewskiego musieli stać się jego parafianami, gdyż w przeciwnym razie, wypowiadał im mieszkanie i t d.

Kolaszewski przystał do Towarzystwa „American Protectif Association". Członków tego Towarzystwa nazywają Apaistami — celem ich prześladowanie katolicyzmu. Katolików oznaczają trzema R, tj. Rum, Rzym, Rewolucya.. Kolaszewski znaczne od tego Towarzystwa pobiera subsidia. W Winonie od 15 miesięcy, od kiedy niejaki Misicki z Krakowa zbuntował parafian, ciągle są burdy, bójki i zgorszenia. Już przez ten czas czterech księży tam było, ale żaden długo wytrzymać nie mógł. Stary kościół, je::ze dobry, rozwalili, aby nowy budować, a przytem się obławiać. Założyli fundamenta, ksiądz opuścił parafię, pieniędzy nie ma, a to parafia, gdzie przeszło 1000 familii polskich jest bez kościoła, bez szkoły, bez księdza.

Studyum ekonomiczne. Poeta Tennyson brał arkusz papieru bez wartości, napisał na nim poemat i otrzymał za to 10.000 zlr. To był geniusz. Van derbildt może na byle kawałku papieru napisać parę słów i dostanie za to 100,000.000 zlr. i to jest kapitał. Zjednoczone Stany biorą półtora uncyi złota i wybijają na niem orła, który ma wartość 250 zlr. To są pieniądze. Mechanik bierze materyał wartości 2 zlr., robi zeń zegarek wartości 50 zlr. i to nazywa się przemysłem: Kupiec towar wartości 10 ct. sprzedaje za 50 ct. To jest handel. Robotnik pracuje łopatą 10 godzin, ukopie trzy lub cztery beczki ziemi lub węgla, za co otrzyma 1 zlr. i to jest praca.

Wymiana orderów. Jak wiadomo, prezydent rzeczypospolitej francuskiej nadał sędziwemu kompozytorowi Verdiemu krzyż legii honorowej; w odpowiedzi na to król Humbert nadał Ambrożemu Thomasowi, sławnemu francuskiemu kompozytorowi i dyrektorowi paryskiego konserwatoryum, wielki krzyż orderu św. Maurycego i Łazarza.

Pomnik Chopina. Z Paryża donoszą, że profesor tameczuego konserwatoryum p Peru, uczeń niezapomnianego mistrza tonów, krząta się około postawienia mu pomnika. Muzyk nasz, jak wiadomo, umarł w Paryżu i spoczywa na cmentarzu Père Lachaise.

Roznosiciele depesz. W Wiedniu trzej roznosiciele depesz w służbie swej używają welocypedów; jeżeli próby te wypadną pomyślnie, to rząd zaprowadzi welocypedy dla wszystkich roznosicieli depesz w Wiedniu.

O życiu domowem Straussa donoszą z Wiednia co następuje: Na przedmieściu „Wieden", przy Igelstrasse Nr. 4, zajmuje rodzina Straussów cały, własny, piętrowy dom, urządzony na sposób angielski. Do mieszkania należy sień obszerna, która łączy się z przedpokojem otwartym i wiedzie do wnętrza. Wszystko tu urządzone z artystycznym smakiem, ze względem na wygodę, na ciszę i odosobnienie, a zarazem tak, że przyjmowanie licznych i częstych gości, żadnego nie wywołuje zamięszania. Do urządzenia należą niezliczone pamiątki, dary, obrazy, które nadają mieszkaniu znamię poważne. Na piętrze są sale gościnne i jadalne, na dole sypialnie i pracownia mistrza. Jest to salon tak zastawiony fortepianem, meblami i pamiątkowymi gracikami, że trudno się przecisnąć. Wolne przejście otwarte jest tylko od fortepianu do niszy, w której stoi harmonium, za kotarami, nad niem obraz Defreggera „Auf dem Tanzboden". Okna wychodzą na ogród. W tej niszy rodzą się walce i operetki, tu mistrz gra i pisze. Dzień schodzi na obcowaniu z ludźmi, na pogawędce, na grze w bilard, wieczór na grze w taroka. Mistrz w ogóle nie lubi wychodzić z domu; dla przechadzki służy ogród. Podróży nienawidzi, tunelów się boi, zimna nie znosi, nie zna nic okropniejszego jak katar; tylko dom, zawsze pod opieką ciepłej ręki kobiecej i w towarzystwie bliskich, starych przyjaciół — to jego ideał. Ale wszystko musi być w domu piękne i wykwintne, zacząwszy od bucików lakierowanych — innych nie nosi. Między ludzi przywdziewa zawsze czarny, angielski surdut; zresztą używa przeróżnych żakietów aksamitnych i flanelowych w różnych barwach. Wygląda on na lat najwyżej 45; gęste, bujne, czarne włosy, nieco kędzierzawe, oblicze pełne, bez zmarszczki, wąsy duże, czarne, oczy małe, czarne, świecące, wyraz twarzy zawsze pogodny, często lekko uśmiechnięty. Wzorowy gentleman, który na palcach nosi tyle pamiątkowych pierścieni, dużych i ciężkich, że trudno pojąć, iż mu na fortepianie grać pozwalają. U zegarka różne wisiorki, a na jednej ręce bransoletka... to są amulety. Mistrz jest zabobonny, jak każdy artysta, ślepo wierzy w moc amuletów, które go nigdy nie opuszczają.

Po taroku wieczorem kolacya, znowu tarok, gra z najwyższą przyjemnością; jest to niby wypoczynek, ale podczas gry snują się przez tę przepiękną głowę pomysły, które niebawem się urodzą. Dopiero w nocy, gdy się uciszy, czuje się mistrz w należytym nastroju. Dużo światła, ciepło, cisza, butelka czerwonego wina, otwarte harmonium i wszędzie porozkładany papier nutowy i ołówki. Mistrz chodzi, gra, popija, zapala mocne cygaro, pisze, znowu próbuje przy harmonium, w ten sposób upływają mu godziny nocne od 11 lub 12 do 3 i 4 rano. Jest to praca codzienna, warunek zdrowia i dobrego humoru; jeśli się zdarzy, że zajdzie przeszkoda, że ten program całej doby w czemś się zmieni, — mistrz traci humor, milczy i tylko dotyka amuletów. Lubi gawędzić, ale tylko w ciasnem kółku, albo przy stole z sąsiadką. Zresztą należy do rodzaju niemych; przemowa jakakolwiek, choćby trzy słowa, to dla niego męka, która mu pot wyprowadza na szerokie czoło.

Liczne przyjęcia nie zmieniają trybu jego życia, tylko gdy nowa operetka ma być wystawiona, wtedy przez cały dzień zmieniają się śpiewacy i śpiewaczki, których sam roli uczy. Wtedy też chodzi na próby do teatru, ogląda, informuje, ale zawsze spokojnie, łagodnie, uprzejmie, po cichu, na ucho, nie było jeszcze wypadku, żeby komu coś przykrego powiedział.

Łagodność i uprzejmość są to przymioty człowieka, który sam przez się jest doskonałym okazem harmonii, elegancyi, pogody; ale spokój zewnętrzny to zdobycz na samym sobie, bo u tego artysty ciągle nerwy grają, ciągle uszy nasłuchują melodyi, tak, że często musi im ulegać i gdziekolwiek jest na papierze, na mankiecie, na firance nowe pomysły notuje, żeby mu nie uciekły, żeby się sam niemi w nocy przy harmonium mógł radować. Nad takim biegiem życia czuwają pięknna małżonka Adela, (trzecia żona, a była wdowa także po Straussie) i córka jej Alicya.

Stan powietrza. T. o 8 rano + 3° R. w poł. + 5° R. Bar. 767. Podnosi się. Pogoda.

Niewymagający klient.

Iks pozował przez kilka miesięcy do portretu. Wreszcie portret skończony.

— No, jakże się panu podoba portret? — pyta malarz.

— Wiesz pan co? — rzecze Iks po długim namyśle — zrób pan lepiej z tego... pejzaż...

Literatura i Sztuka.

* **„Przemysłowcy."** (Powieść Maryi Mikuszyc nakładem Centnerszwera. Warszawa, 1894.) Wyznajemy, że sam tytuł powieści pani Mikuszyc zachęcił nas szczególnie do szybkiego wzięcia książki do ręki. Zdawało nam się, że autorka wprowadzi nas w stosunki naszego świata przemysłowego, tak obfite w interesujące tematy, tak bogate w oryginalne charaktery i rysy, tak często odrębne w poglądach i pracach, jednem słowem, że nam odsłoni choć rąbek owego świata, przez naszych powieściopisarzy mało jeszcze wyzyskanego, a zazwyczaj tylko powierzchownie, pod względem zewnętrznych cech przedstawianego. Niestety, doznaliśmy srogiego zawodu, gdyż w utworze pani Mikuszyc przedewszystkiem nie ma ani jednego przemysłowca. Ale mniejsza o to; ten błąd w tytule przebaczylibyśmy autorce i zastąpili innym, np. „Aferzyści" lub czemś podobnem, gdyby, nie dawszy nam przemysłowców, przedstawiła jakąkolwiekbądź grupę ludzi żywych, działających i ruszających się na tle stosunków przez autorkę należycie poznanych i wystudyowanych. Ale i tego nie ma w „Przemysłowcach" ani śladu, natomiast spotykamy luźno opowiedziane dzieje instytucyi handlowo-przemysłowej, w której się ścierają dobre i złe żywioły; przedstawicielem pierwszych jest p. Roszowski, a drugich Władysław Czarkowski, obaj zaś są manekinami, z poza których autorka mówi, co powiedzieć uznała za właściwe.

Wprawdzie Roszowski popełnia niemal wszystkie 7 grzechów głównych i różne inne nikczemności i podłości, tak samo jak Czarkowski uosabia wszystkie możliwe cnoty i zalety, ale ani jeden ani drugi, nie usprawiedliwia tego swoim niskim i przewrotnym, lub podniosłym i szlachetnym charakterem; oni są takimi z woli i przeznaczenia autorki. Dodajmy do tego jak świat starą bajkę o zapoznanej cnocie i tryumfującym występku, oraz o oliwie, która jednak z czasem wychodzi na wierzch, a będziemy mi li dostateczne wyobrażenie o fabule „Przemysłowców". Tak mało zaś liczy się p. Mikuszyc z prawdą, że jej Władysław, to niby drugi Mojżesz, niechby laską skały się dotknął, z pewnością wytrysnęłaby z niej woda. Zniechęcony pierwszem niepowodzeniem kupiectwa, osiada on na zapadłej wsi swojego stryja, gdzie bez żadnych środków materyalnych, ani fachowych, bo na rolnictwie wcale się nie zna, w parę lat dokonywa cudów. Wieś zmienia się w miasteczko: mchem porosłe i rozpadające się chaty skryły się pod ziemią, z której wyrosły nowe domki, okolone pięknemi ogródkami. Ludzie przestali pić i kraść, a ciężko zapracowany grosz niosą do kasy oszczędności Dzieci, pięknie umyte, bawią się wdzięcznie na niby ulicach. Dostatek i bogactwo bije zewsząd, dzięki wypędzonemu wyzyskiwaczowi żydowi. Jednem słowem, istny raj! Szkoda wielka, że p. Władysław za pośrednictwem autorki nie zdradził tajemnicy, jakim tego wszystkiego dokonał cudem, jeżeli już nie nam, to przynajmniej zdumionemu stryjowi i tej osłupiałej szlachcie, która przyjeżdża podziwiać jego cudotwórczą pracę. Pomimo tych niedostatków, błędów, a częstokroć i śmieszności, spotykamy jednak w „Przemysłowcach" przebłyski rzeczywistego uzdolnienia. Do takich zaliczylibyśmy bardzo oryginalnie pomyślane i naszkicowane postacie, jak wyśrubowany na prezesa, skończony niedołęga Sokolnicki, niegdyś Lolo, pieszczoch swej mamy, jego pokojówka, awansująca powoli na towarzyszkę, Katarzyna, ich naturalna córka, przedzierzgnięta w wyrafinowaną lwicę Lola. Autorka umiała ich natchnąć życiem i umiejętnie wpleść w akcyę i ztąd też wnosimy, że mogłaby stworzyć rzecz udolniejszą, gdyby przy pisaniu przyszłej powieści zechciała nie zapomnieć o tem, iż za podstawę i tło służyć nie mogą posłyszane gawędy, ale studya! — i jeszcze raz studya!

* **Z przeszłości Galicyi** (1772—1862) przez Stanisława Schnür-Pepłowskiego. Wydanie drugie uzupełnione. Lwów, Jakubowski i Zadurowicz 1895. Nie ma nic słuszniejszego jak narzekanie, że ogół nasz za mało zna historyę naszą i to nie tę dawną, lecz z czasów najnowszych, z ostatniego wieku Ale też nie byłoby nic słuszniejszego, gdyby ogół na te narzekania odpowiedział autorom: „A czemuż wy nam książek o tych czasach nie dacie?" Jeżeli bowiem o powstaniach naszych jest nawet mała biblioteczka, to czasy w przerwach pomiędzy niemi, początek bieżącego wieku i po za krwawemi starciami cała praca pokojowa i pokojowe walki jakie prowadził naród cały i poszczególne prowincye, są jeszcze okresem, piórem autorskiem niemal nietkniętym. Odnosi się to zwłaszcza do „Przeszłości Galicyi". Wdzięczne więc pole wybrał p. Pepłowski, bo wszystko czego się tknął było jeszcze nowe, mógł całą garścią brać materyały wszędzie rozproszone, bez obawy, że to źródło się wyczerpie. Z tego już powodu książka p. Pepłowskiego przynosi wiele ciekawych rzeczy i czyta się z zajęciem. Podnosi tę jej cechę sposób pisania, polegający na obrazowem ugrupowaniu faktów, zdarzeń, anegdotycznych epizodów, chociaż z drugiej strony uwaga czytelnika rozbijając się na okruchy, nie dość przykuwa się do momentów zwrotnych, aby z nich wyciągać głębsze wnioski. W każdym razie praca p. Pepławskiego jest ciekawym i pożądanym nabytkiem literackim

* **Poradnik domowo-homeopatyczny** dra K. Müllera, tłumaczył z ostatniego wydania niemieckiego, oraz opatrzył wstępem i dopełnieniem Łucyan Kuczyński. Warszawa 1894. Zwolennicy homeopatyi, których i u nas nie brak, zyskają obecnie przekład jednego z najpopularniejszych podręczników w tym dziale. Książka obejmuje 523 stron, z czego 62 stron stanowi wstęp p. Kuczyńskiego.

* **Dzieła dramatyczne Wiliama Shakespeare** w dwunastu tomach, przekład J. Bleicha z objaśnieniami J. G. Kraszewskiego. Tom I. Król Jan — Król Ryszard II. — Król Henryk IV część I i część II. Wydanie nowe z rycinami tytułowemi. Kraków nakład Gebethnera i Spółki. Równocześnie z dwóch stron podjęto nowe wydawnictwo dzieł Szekspira, uczyniła to najpierw we Lwowie „Księgarnia Polska" a teraz w ślad poszła księgarnia Gebethnera. A podczas gdy pierwsza wybrała drogę odświeżenia tłumaczeń, prosząc wybitnych autorów o ponowny przekład dzieł, które słabiej wyszły w polskim języku u dawnych tłómaczy, firma krakowska wznowiła wydanie Kraszewskiego, które ma już wypróbowaną sympatyę u publiczności, tylko dawny format w wielkiej ćwiartce zmieniono na małą ósemkę, z tomów trzech zrobi się wskutek tego dwanaście, a z licznych ilustracyi powtórzono tytułowe do każdego utworu.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 22 października.

(Z) Spekulacya w walorach kolejowych przybiera coraz większe rozmiary. Na pierwszym planie stoją Statsbahny i Elbethale. Kupowane są one obecnie w wielkich partyach i to nietylko w celach spekulacyjnych, ale także, i to przeważnie, przez publiczność nie operującą na zwyżkę, lecz szukającą przedewszystkiem korzystnego oprocentowania swoich funduszów. To prawdziwie gorączkowe nabywanie walorów kolejowych tak wyśrubowało ich kurs w górę, że dziś żaden z nich nie przynosi już więcej nad 4% dochodu, a popyt na nie mimo to nie ustaje, gdyż pogłoski o nowych projektach upaństwowienia i wysokim wymiarze renty dla akcyonaryuszów upaństwowić się mających kolei, dodają bodźca. W bankowych walorach rozmiary obrotów są już o wiele mniejsze, mimo to jednak kursa okazują tendencyę zwyżkową. Z papierów przemysłowych największym popytem cieszą się obecnie walory rozmaitych przesiębiorstw elektrycznych. Ta bowiem gałęź przemysłu rzeczywiście ogromnie się rozwija. W Frankfarcie zawiązuje się nowe towarzystwo elektryczne z kapitałem 15 milionów marek.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 370.50, węgierskie 467·—, Anglobanki 169 75, Uniony 282 40, Bankvereiny 146·50, Länderbanki 266 05. Ludwiki 217·50, Czerniowieckie 286·—, Elbethale 276 75, Renta papierowa 99·30, srebrna 99·25, austryacka złota 123 70 4% austr. renta wal. kor. 98·15, węgierska złota 122·20, 4% węgierska renta wal. kor. 96·65, dukat 5·89—, 20-frankówka 9·90—, marki 12·19—, ruble 1·33¼.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 23 października.

Usposobienie lepsze trwa dalej, wobec jednak słabej podaży ruch dosyć słaby. Chmiel prawie bez pobytu, spirytus się w cenie utrzymuje.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·25 do 6·75, Pszenica nowa 0·00 do 0·—, Żyto gotowe 4·75 do 5·—, Żyto stare 0·— do 0·00, Owies obroczny stary 0·00 do 0·—, Owies obroczny nowy 5.25 do 5·75, Jęczmień brow. 4·50 do 6·—, Rzepak nowy 8·50 do 9 25, Lnianka —·— do —·—, Siemię lniane —·— do —·—, Siemię konopne —·— do —·—, Anyż —·— do —·—, Groch 5·50 do 7·—, Wyka 4.25 do 4·75, Bobik gotowy 4·25 do 4·75, Hreczka 0·— do 0·—, Kukurudza stara 0·— do 0·—, Kukurudza nowa 0·— do 0.—, Chmiel za 56 kilo 25.— do 40·—, Koniczyna czerwona 48·— do 55·—, Koniczyna biała 75·— do 90·—, Koniczyna szwedzka —·— do —·—, Tymotka —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. proc. loco stacye kolei 14·25 do 14·75, Spirytus na termina 13·50 do 14·—.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 6100 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 257 sztuk opasowych i — chudych. Nie sprzedano 725 sztuk.

Płacono: galicyjskie 53 do 65·00 zł., węgierskie 54—68·00 zł., z innych krajów koronnych 55 do 68·00 zł., krowy 23—33·00 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 24·50 do 78 zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 24 października. „Dziennik rozporządzeń wojskowych ogłasza, że Cesarz zamianował jenerała brygady Beck-Nordenau jeneralnym inspektorem inżynieryi, a jenerałowi brygady Woatowi poruczył sprawowanie agend jeneralnego inżyniera budowniczego.

Ambasadorowi tureckiemu Zia baszy, przeniesionemu do Paryża, nadał Cesarz wielką wstęgę orderu św. Szczepana.

Wiedeń 24 października. Król serbski chciał wczoraj po południu złożyć wizytę ministrowi hr. Kalnoky'emu, ale nie zastał go w domu. W ciągu dnia wczorajszego odwiedził król wszystkich bawiących tu ambasadorów. Z rewizytą u króla był wczoraj arcyks. Albrecht i ambasador francuski Lozé.

Peszt 24 października. Komisya finansowa sejmu węgierskiego załatwiła cały budżet ministerstwa spraw wewnętrznych i rozpoczęła obrady nad budżetem ministerstwa wyznań i oświaty. W toku debaty oświadczył minister spraw wewnętrznych Hieronymi na stosowne zapytanie, że rząd nigdy nie miał zamiaru rozwiązywać parlamentu w najbliższym czasie.

Petersburg 24 października. Biuletyn o stanie zdrowia cara, wydany wczoraj o godzinie 10-tej rano, opiewa: „W nocy spał chory lepiej, apetyt jednak słaby. Sił nie przybyło choremu, a także czynność serca nie polepszyła się. Opuchliny na nogach wzmagają się".

Petersburg 24 października. Biuletyn urzędowy o stanie zdrowia cara, ogłoszony wczoraj o godzinie 7 wieczorem opiewa: „W ciągu dnia wczorajszego okazywał car senność i miał lekkie kurcze. Apetyt miał wczoraj lepszy aniżeli przedwczoraj".

Petersburg 24 października. *Goniec urzędowy* donosi, że księżniczka heska Alicya przybyła w poniedziałek o godzinie pół do szóstej wieczorem do Liwadyi i wprost z dworca udała się do chorego cara i do carowej, następnie z carową i innymi członkami rodziny carskiej poszła do cerkwi pałacowej na nabożeństwo. Carewicz oczekiwał na swą narzeczoną w Ałuszcie.

Nuerschan 24 października. Ubiegłej nocy eksplodował nabój dynamitowy, podłożony pod dom, w którym mieszka wielu urzędników górniczych. Dom uszkodzony został lekko, wiele okien i drzwi zostało pogruchotanych.

Paryż 24 października. *Figaro* otrzymało depeszę nadaną z Liwadyi wczoraj w nocy, a donoszącą, że cara opanowała ogromna senność i lada chwila spodziewać się należy katastrofy.

Paryż 24 października. Rosyjski minister dworu wysłał z polecenia carowej do Edwarda Hervego depeszę, w której dziękuje jemu jako prezesowi syndykatu prasy paryskiej i wszystkim członkom tego syndykatu za wyrażone carowej życzenia wyzdrowienia cara.

Euxinograd 24 października. Książę bułgarski odjechał stąd do Sofii na otwarcie sobrania.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 24 października. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·— do 219·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassy po 200 zł. w. 285.50 do 288 50. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, —·— do 426·—

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 110·— do 110·70, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·— do 100.70. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 96·50 do 97.20. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 97·50 do 98·2 4 [illegible] los. w 41½ los. 97.40 do 98·10, 4% los. w 56 latach 96·50 do 97·20. 4½% lat. w 56 lat. —·— do —·—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96.70 do 97.40. Bukow. funduszu propinacyjnego [illegible] 101·70 do —.— Kom. banku krajowego 5% w. a. [illegible] 102·— do 102·70, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·— 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 95 80 do 96·50 [illegible] z roku 1893 95 80 do 96·50.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95 Napoleondor 9·84 do 9·94, Półimperyał 10·15 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.25 — do 1.35 — 100 marek niemieckich 60·70 do 61·30

Wiedeń dnia 24 października. (godz. 11 w południe) Kredyty 372·25, kred. węgierskie —·—, Anglob. 171.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 267.10, Akcye tytoniowe 229.—, Staatsbahny 374 65, Lombardy (z kap.) 106 35 Elbethale — Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —.— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 60·98. Losy tur.

50)

VERA

przez *Florencyę Marryatt.*

(Ciąg dalszy).

Spóźniwszy się na statek, który w południe odpływał do Calais, państwo Conway Jones zmuszeni byli następne dwanaście godzin przesiedzieć w hotelu, dokąd Vera udała się za nimi, dziwiąc się w duszy, dlaczego jej państwo, mając tę pewność, że powiozą ją do Londynu, zabierali z sobą wszystkie rzeczy, i co za jedni mogli być ci niedobrzy ludzie, którzy chcieli ich okradać, kładąc rękę na ich własności?

Nie rozstrzygnęła jeszcze tej kwestyi, gdy naraz usłyszała coś, co jej się znowu wydało niezrozumiałem, jak wszystko, co dotąd słyszała.

— Cobym ja był zrobił, Cesiu moja najdroższa, gdybym nie był prawa własności mebli przepisał na Clevelanda! — zawołał pan Conway Jones. — To był *Meisterstück!* Tym sposobem zyskałem choć kilka miesięcy zwłoki, bo zanim Adison zacznie prawnie dochodzić swoich pretensyi i przyśle nam pozwy, to my już będziemy na drugim końcu świata.

— Adison ma prawo za sobą i utrzyma się przy niem — odpowiedziała żona.

— No, w takim razie najgorzej wyjdzie na tem Cleveland — spokojnie zauważył mąż.

ROZDZIAŁ IX.

Resztę dnia państwo Conway Jones spędzili spokojnie w hotelu, nie pokazując się na ulicy. O zwykłej porze kazali sobie podać bardzo wykwintny obiad, suto oblany szampanem z najlepszych winnic zagranicznych, a nakarmiwszy do syta Verę różnemi łakociami, tejże samej nocy wraz z nią przeprawili się do Calais. Tam pani, zmęczona podróżą, położyła się do łóżka, tak, iż całe towarzystwo dopiero nazajutrz po południu przybyło do Brüssenburga.

Uczucia, rozsadzające pierś Very, gdy jechała skulona w kąciku wagonu drugiej klasy, otoczona kłębami dymu palących Belgijczyków, i mówiła sobie w duszy, że każdy obrót kół zbliża ją do miejsca, gdzie prawdopodobnie znajduje się jej mąż, nie dadzą się żadnem piórem opisać. Zdawało się jej, że oddycha swobodniej, odkąd postawiła stopy na kontynencie. Ten sam fakt, że słyszała około siebie ludzi mówiących tym językiem, w którym miała najwięcej wprawy, był oznaką, że znajduje się wśród swoich, i ciężar troski i niepokoju, ugniatający jej piersi od tylu długich miesięcy, wydawał jej się teraz lżejszym, im bliżej czuła się celu. Z każdą godziną czuła się weselszą, rozmowniejszą; oczy jej błyszczały radością, jak za dawnych czasów, a rozkoszny uśmiech, tak dawno niewidziany na jej twarzy, rozchylał jej usteczka. Gdy po trzygodzinnej podróży stanęli na miejscu, Vera drżąca i rozgorączkowana musiała się powstrzymać, aby nie wybiedz na ulicę i nie wołać głośno imienia swego ukochanego; tymczasem tłumiąc porywy serca, musiała stać spokojnie u boku swej pani i milcząc spełniać jej rozkazy, a potem dać się biernie wieść do hotelu wzdłuż ulic wysadzonych drzewami, na których spóźniona wiosna nie rozwinęła jeszcze zielonej swej szaty. Obracając głowę na wszystkie strony, patrzyła wytężonym wzrokiem, czy wśród tłumu przechodniów nie dopatrzy gdzie znanej twarzy, którą poznałaby, choćby choroba i tęsknota starły z niej wszystkie ślady młodzieńczej urody. Zresztą nic jej nie obchodziło z tego, co ją otaczało. Rzuciła zaledwie okiem na wózki z mlekiem i jarzynami, ciągnione przez wielkie kudłate psy w skórzanej uprzęży; na rosłe i barczyste belgijskie dziewczęta w białych wyfurkowanych czepcach, krótkich spódniczkach i drewnianych sabotach dzwoniących o bruk, na flamandzkie mieszczki w złocistych ciężkich ozdobach i słomianych kapeluszach w kształcie koszów; a gdy przy wjeździe na bulwary tłum stał się bardziej zwartym i ściśnionym, ogarnęła ją rozpacz, bo mówiła sobie, że jej Gordon jest może blisko, może przesunie się tuż obok niej, a ona go nie dostrzeże. Siedziła pilnie każdą twarz niknącą w oddali, wpatrywała się chciwie w rysy jeźdźców przemykających na rasowych wierzchowcach, a gdy dyliżans zakręcił w boczną ulicę i zatrzymał się przed bramą pensyonatu, o mało że nie rozpłakała się z żalu, widząc, iż musi na razie zaniechać dalszych poszukiwań. Za chwilę potem wyrzucała sobie, że była tak dziecinną, i ochłonąwszy nieco z gorączki, zajęła się rozpakowywaniem rzeczy.

„Boarding House“, w którym ulokowali się Conway Jones, należał do drugorzędnych i położony był na jednej z mniej ładnych i bardziej oddalonych od środka miasta ulic. Ze względu, iż używano tam wyłącznie francuskiego języka, nie był on wcale odwiedzany przez Anglików i to właśnie skłoniło dyplomatyczną parę do obrania tego schronienia, gdzie nie była narażoną na nieprzyjemne spotkania.

Vera, znalazłszy się sama w przeznaczonym dla niej pokoiku, uczuła się od razu jakby w domu. Z przyjemnością rozejrzała się po wyfroterowanej i lśniącej jak zwierciadło podłodze, po białych muślinowych firankach zawieszonych u okien, po staroświeckim piecu ustawionym w pośrodku, zapominając w swojem rozradowaniu, że aby się dostać do siebie, musiała wspinać się po spadzistych schodach aż na czwarte piętro. Zdawało jej się, że te wszystkie otaczające ją przedmioty są jej dawno znane z opowiadań ojca Józefa, który tylokrotnie z najdrobniejszemi szczegółami opisywał jej swój rodzinny kraj i pobyt w Brüssenburgu. Wspomnienie tego zacnego opiekuna, który tak pragnął zwiedzić jeszcze z nią razem to miasto, sprowadziło łzy do oczu dziewczęcia, ale myśl jej zwróciła się szybko ku Gordonowi Romilly i twarz jej rozpromieniła się znowu.

Pani Conway Jones przeciwnie, była w złym humorze. Mąż jej, wybrawszy się na przechadzkę, zapóźnił się na obiad, przytem zapomniał jej przynieść jakiegoś lekarstwa, które mu poleciła kupić w angielskiej aptece, posiadającej wyłączną własność tego specyfiku. To też „najdroższa Cesia“, zmęczona drogą i zadąsana na swego małżonka, zawołała po obiedzie Verę do siebie i rzekła do niej płaczliwym tonem rozkapryszonego dziecka:

— Moja kochana, musisz mi koniecznie dostarczyć tych kropli. Czuję się bardzo zdenerwowaną i słabą. Apteka musi być gdzieś niedaleko ztąd. Jestem pewna, że jeżeli zechcesz sobie zadać ten trud, to znajdziesz ją z łatwością.

— Najchętniej, pani — odparła zawsze usłużna Vera. — Pójdę natychmiast.

I wziąwszy receptę, włożyła kapelusz i wyszła.

Była godzina ósma wieczorem, pora niewłaściwa dla młodej dziewczyny, zwłaszcza tak pięknej jak Vera, błądzenia samotnie po oświetlonych rzęsiście ulicach. Ale dziewczyna, która całe popołudnie przesiedziała w okienku swego poddasza, wyglądając na pusty placyk, na którym zrzadka tylko snuli się przechodnie, i wzdychając do tego, aby się jakim sposobem dostać do ludniejszej części miasta, gdzie łatwiej spotkać mogła tego, kogo szukała, wyrwała się teraz z tego milczącego, posępnego domu, jak z więzienia. Szła szybko, ochoczo, jakby biegła naprzeciw swego ukochanego, a zasięgnąwszy niezbędnych objaśnień po drodze, skierowała się ku jednej z przyncypalnych ulic, zwanej rue de la Haute Cour. Wspaniałe wystawy magazynów byłyby niewątpliwie w każdej innej okoliczności zwróciły jej uwagę, ale wobec wszechpochłaniającej ją myśli nie miała ona oczu dla strojów, barwnych obrazów i kosztowności, tak ponętnie wyglądających z po za dużych, wystawowych szyb. Nie zauważyła nawet spojrzeń przechodniów, zwabionych jej urodą, a jeżeli czasami jej własny wzrok, badawczo zwrócony ku każdej twarzy, wywołał jaki niedyskretny komplement, przelotny jej rumieniec znikał szybko, a towarzyszyło mu zawsze bolesne westchnienie zawodu. Załatwiwszy sprawunek, nie pozostało jej nic, jak zawrócić ku domowi, a gdy na zakręcie ulicy obejrzała się na kaskady świateł bijących z okien, na ruch i gwar wrzącego na bruku życia i pomyślała, ile to ciemnych, pustych zaułków i placów przejść jej trzeba, zanim dostanie się z powrotem do pensyonatu, ogarnęła ją ochota raz jeszcze przejść wzdłuż ulicę de la Haute Cour. To wesołe, błyskotliwe otoczenie, ta miejscowość podniesiona fantasmagoryą światła, tak właściwe ramy zdawała się tworzyć dla obrazu jej rycerskiego i pięknego Gordona, iż była prawie pewną, że go musi zobaczyć wśród tego wesołego, rozbawionego tłumu. Ale godzina była już późna, pani, czekając na lekarstwo, musiała się niecierpliwić, naglona więc poczuciem obowiązku, Vera raz jeszcze rzuciwszy okiem na ten barwny kalejdoskop życia, który wydawał jej się rajem rozkoszy ziemskich, smutnie skierowała się ku domowi.

Bulwary i place miejskie, pogrążone w mrokach, wydały jej się o wiele smutniejsze teraz, niż kiedy je widziała po raz pierwszy przed kilku godzinami. Sterczące pnie wielkich drzew rozpościerały w cieniach obnażone z liści suche jeszcze konary swoje, a latarnie poustawiane w rzadkich odstępach na ulicy mdły krąg światła zataczały dokoła. Vera, która niesiona w tamte strony na skrzydłach nadziei, nie doznawała żadnej trwogi, teraz, zasmucona doznanym zawodem, czuła, iż ją zwyczna odwaga opuściła.

Odn.

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego, — Zarządca W. Hodak.